

Teodor Tomasz Jeź.

SZANDOR KOWACZ.

(S Z K I C)

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

TOM I.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

Wydane z dubletów

Bibl. Publ. m. st. W-wy

Bibl. Publ. m. st. W-wy

Nab. 2178f.



wypożyczalnie.

Nr. 73

Nr. Inw. 3481

Дозволено Цензурою.

Варшава, 5 Августа 1898 года.



149534/1

D-229/83

## ZYGMUNT MIŁKOWSKI

(Teodor Tomasz Jeż)

18NE

Autor „Szandora Kowacza“ z pomiędzy wszystkich powieściopisarzy naszych najsilniej i najdobitniej przeprowadzał w utworach swoich ideę obowiązku. Sam wierny idei tej przez życie całe, był jakby powołanym na to, ażeby ją w piśmiennictwie uwydatnić.

Urodził się 23 marca 1824 roku we wsi Saracuja nad Dniestrem na Podolu, z ojca Józefa, byłego żołnierza Napoleońskiego, i matki Balbiny z Brudzewskich. W domu rodziców panowało zamiłowanie literatury ojczyźnej; ojciec, chociaż wskutek działu majątkowego siedział tylko na dzierżawie, lubiąc książki kupował je, a dzieci czytały i na pamięć uczyły się poezyj. Zygmunt z czasów dzieciństwa swego pamięta nazwiska: Kochanowskiego, Szymonowicza, Krasickiego, Naruszewicza, Karpińskiego, Książnina Brodzińskiego, Mickiewicza... Mając lat 8, czytał już

nawet „Jerozolimę Wyzwołoną“ Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego, oraz „Eneidę“ Wergiliusza w tłumaczeniu Franciszka Ksawerego Dmochowskiego...

W roku 1833 ojciec Zygmunta zamieszkał pod Tulczynem we wsi Klebani, dzierżawionej od Mieczysława hr. Potockiego, męża sławnej Delfiny, w której się kochał Zygmunt Krasieński. Syna oddał do szkół w Niemirowie. Młodzieniec już tu próbował pisać wiersze; matka zachwycała się niemi, ojciec je ganił. I powieść swą pierwszą także tu napisał przesłał ją do *Athenecum*, które wydawał Kraszewski, ale gdzieś się zawieruszyła. Gimnazjum niemirowskie opuścił z powodu zajęcia z dyrektorem Zimowskim; przygotowywał się przez rok w domu, a potem wstąpił do liceum w Odesie, na wydział fizyczno-matematyczny, który skończył w r. 1846, otrzymawszy dyplom i medal złoty za rozprawę konkursową na temat *dziejowy*. W roku następnym udał się do Kijowa w celu zdania egzaminu na stopień kandydata nauk matematycznych; ażeby cel ten osiągnąć, s'uchał tu przez rok niespełna wykładów uniwersyteckich.

W końcu roku 1848 Miłkowski udał się do Galicyi, a ztamtąd do Węgier, gdzie jako legionista wziął udział w walce z Austryą i dosłużył się stopnia porucznika. Po bitwie pod Temeszwarem musiał szu-

kać schronienia najprzód w Serbii, potem w Turcyi. W r. 1850 wyjechał razem ze 150 kolegami do Anglii. W Londynie przymierał początkowo z głodu, potem pracował jako prosty robotnik w zakładzie modelów do obić papierowych; wykazawszy następnie swe zdolności rysownicze, tworzył wzory obić. Z początkiem r. 1857 rozszerzył Miłkowski, już jako Teodor Tomasz Jeż, pole swojej działalności literackiej, zaczął pisywać korespondencye do *Gazety Warszawskiej*, odznaczające się werwą i oryginalnością, czytane chciwie, rozchwytywane.

W roku 1858 wystąpił Jeż w nowej dziedzinie: wydrukował pierwszą swą znakomitą powieść p. t.: „Wasył Hołub“ (w *Dzienniku Literackim*). Od tej chwili sława Jeża jako autora była ugruntowana. Nie pomijając publicystyki, zaczął on głównie za pośrednictwem powieści oddziaływać na społeczeństwo, podnosząc raz po raz najżywotniejsze zagadnienia, a przedewszystkiem kwestyę włościańską, która jeszcze wówczas nie była załatwiona. Potem poszły takie sprawy, jak niski stan oświaty, zepsucie młodzieży, brak należytego wychowania, brudny egoizm, rozpowszechniający się w bogatych sferach, i t. p.

Całego szeregu tych utworów, ciągnącego się nieprzerwanie po dzień dzisiejszy, wyliczać tu nie będzie, gdyż suche podawanie tytułów na tem miejscu niewieleby przyniosło pożytku; porzestane więc na

wymienieniu tych jeno, które zostają w najbliższymi chronologicznym związku z „Szandorem Kowaczem“, wychodzącym w niniejszem wydawnictwie.

Otóż po „Wasyłu Hołubie“, który dotychczas nie doczekał się jeszcze przedruku w formie książkowej, wyszły dwie inne, równie jak tamta, poświęcone zobrazowaniu życia ludu wiejskiego na Podolu z czasów poddaństwa chłopskiego. Są to: „Handzia Zahornicka“, drukowana roku 1859 w *Gazecie Warszawskiej*, oraz „Sen starego księcia i nieboszcza“, tegoż roku w *Dzienniku Literackim* ogłoszony. (Obie dotyczyły stosunków i zagadnień, albo zupełnie nieporuszanych przez poprzednich powieściopisarzy, albo też przedstawianych w sposób ułamkowy, nieco sentymentalnie zabarwiony)

„Szandor Kowacz“, osnuty na tle wojny węgiersko-austriackiej w r. 1848/9 i malujący budzące się poczucie narodowe w duszy zmadaryzowanego Słowaka, ukazał się po raz pierwszy w *Gazecie Warszawskiej* r. 1860, a zaraz w następnym wyszedł w książkowej odblask; po raz trzeci przedrukowano go w zbiorowym wydaniu pism T. T. Jeża we Lwowie r. 1876. Obecne wydanie będzie zatem czwartym z kolei. Przyjęto powieść tę wogóle z wielkim uznaniem; tylko zwolennicy dawniejszej idealistycznej metody powieściopisarskiej, nie umiejąc należycie ocenić cech realizmu artystycznego, zżymali się na niektóre rubaszne wyrażenia.

W tym samym roku 1860, w którym wydrukowano po raz pierwszy „Kowacza“, wyszło w *Tygodniku Ilustrowanym* żywe bardzo opowiadanie p. t. „Hrabianka Dynia“ i rozpoczęła się w *Gazecie Warszawskiej* wielka „Historia pra... prawnuka i pra... pradziadka“, ciągnąca się tam przez cały rok następny, w którym oprócz tego ogłosił Jeż trzy opowiadania: „Asan, ustęp z dziejów Słowian bałkańskich“ (w *Dzienniku Literackim*), „Pierwsze Boże przykazanie“ (tamże) i „Na placówce“ (w *Tygodniku Ilustrowanym*).

Rok 1862 przyniósł jedną tylko, ale świetną powieść: „Krwawe dzieje“, drukowaną w *Gazecie Warszawskiej* i nie odbitą dotychczas w formie książkowej.

W tych utworach Jeża, napisanych przed rokiem 1863, mieszczą się w zarodku wszystkie pierwiastki składowe całej dalszej jego działalności powieściopisarskiej, t. j. pierwiastek społeczny, pierwiastek historyczny z dziejów polskich, zarówno dawniejszych, jak i nowszych, pierwiastek historyczny z dziejów ludów południowo-słowiańskich.

Po dwu latach przerwy Jeż od r. 1865 podejmuje nanowo pracę powieściopisarską i ogłasza wielką liczbę utworów, pomiędzy którymi znajduje się jego arcydzieło, mianowicie „Uskoki“ (1870).

Jeż należy do liczby tych pisarzy, którzy się

nie zamykają w kółku pojęć tradycyjnie przekazanych, ale idąc torem, wskazanym przez dzielnych myślicieli, starają się zdobyć naukowe Zachodu narodowi naszemu przyswoić i utrzymywać go w ciągłym a żywotnym zeiknięciu z cywilizowaną Europą, z przodującymi w niej narodami. Nie chce on bynajmniej zrywać z przeszłością, ale pragnie rozwijać te tylko z niej pierwiastki, które znaczą postęp naprzód, które i dziś jeszcze w zmienionym, bo zastosowanym do potrzeb czasu sposobie, stać się mogą dźwignią w życiu ogólnem. Punkt ogniskowy, z którego promieniowały wszystkie jego poglądy, znalazł on, jak sam powiada, „w zasadach szczerze i wyraźnie postępowych, otoczonych światłem, sprawiedliwością i miłością bliźniego, a obalających przesady i śmiešności, bez względu na to, z kąd one pochodzą, jak się mianują“.

Obecnie T. T. Jeż przebywa w Genewie.

Piotr Chmielowski.

I.

Wiele slyszalem muzyk narodowych, rozmaite widywałem tańce, ale — wyznać muszę — że bardziej porywającej muzyki nie slyszalem, tańca szaleńszego nie widzialem, nad węgierskiego *czardasza*. W nim nuta i tancerz zlewają się w jedno. Patrząc na tancerza, zdaje się, że pływa on na tonach, które, rozhukane, rozwścieklone, miotają nim, jak wichur na morzu miota lekką łódkę. Wypływa z początku poważnie, zwolna sunie ku tancerce i odchodzi od niej; lecz powoli, stopniowo rozognia się, tony owiewają go, porywają, oblicze i oczy rozplomieniają się jakimś rodzajem zachwytu — i już w tańczeniu jego, nie w takt stawiane regularne widzisz kroki, lecz szalone jakieś rzuty, przypadające do taktu dlatego tylko, że nuta muzyki targa Węgrem, miota nim, posuwa i cofa, lub zatrzymując na miejscu, zmusza go przebierać nogami i podskakiwać z jakimś dziwnym rodzajem konwulsyjnego w całym ciele drgania. Węgier rozrywa wówczas odzienie na piersi, przesuwając kapełusz lub czapkę na bok, dłoń prawej ręki od czasu do czasu za ucho przykładając, z piersi jego mimowolnie i chrapliwie wydzierają się okrzyki: „haj-hu!“

i — hula. Muzyka owłada nim całkowicie. Lejące się tony, leją się niby woda na koło młyńskie, i obracają niem, pędzą go, coraz gwałtowniej i gwałtowniej.

Muzyką Węgrów rozprowadzić, zdaje się, możnaby po krańcach świata, a rozprowadziwszy, możnaby zwołać ich do środka, postawiwszy na środku bandę Cyganów i kazawszy im grać Rakocego lub czardasza. Rakocy, stary i odwieczny marsz narodowy, i czardasz, taniec narodowy, wywierają na nich wpływ ogromny. Niech tylko Węgra zdaleka zaleci nuta Rakocego, natychmiast, jakby go co podniosło, stanie, wyprostuje się po żołniersku, nachmurzy brwi, pokreśli wąs — i poczyna iść, maszerować. Niech tylko banda włóczących się muzykantów, którymi zawsze są Cyganie, zaszedłszy do wsi lub miasteczka, zatrzyma się na ulicy i zagra czardasza, natychmiast otoczą ją starzy i młodzi.

Nic przeto dziwnego, że tylu ludzi schodzi się do starego Sawy Simicza. Z podwórza jego rozlega się granie, i jak daleko echem sięga, z tak daleka gości ściera. Kto zasłyszysz, to i idzie i zebrało się ludzi dużo; zeszli się wszyscy sąsiedzi i wielu niesąsiadów, a sąsiedzi nie przysłali reprezentantów w jednej lub w dwóch osobach z każdego domu, ale stawili się całymi rodzinami: mężczyźni i kobiety, starzy i dzieci. Terazby złodziejowi zrobić połów obfity!... Nie potrzebowałby czekać nocy, niktby go nie spostrzegł: mógłby wozem zajechać na przedmieście i zabierać z domów, coby się spodobało. Wszędzie pustki, jakby po zarazie morowej. Jeszcze dobrze, jeżeli kto, wychodząc, zamknął drzwi i wrota za sobą. Niektórzy pozostawiali domy otworem, tak im śpieszno było

do Sawy Simicza i tak zapominali o wszystkim, gdy oczarowała ich rozlegająca się w powietrzu melodia czardasza, która ich ciągnęła niby śpiew Syreny. Dobrze, że złodziej nie nadarzył się, ale gdyby się natrafił, cała wina spadłaby na Cyganów: jak nieraz, może najniewinniej, spada na nich. Powstałyby krzyki...

Grali!.. na to umyślnie, aby zabalamucić ludzi!... jedni grali, a drudzy kradli!... *a terem-tiszen!*...

I kłębili Węgry na czem świat stoi, przeklinając matki cygańskie, ojców i bogów cygańskich, ich dusze, przodków i potomków, chociaż nie zawsze słusznie, gdyż częstokroć Cyganie najmniejszego udziału w kradzieży nie mają. Ot, jak ci naprzykład, którzy u Sawy Simicza na podwórzu grają. Ktoby ich śmiało o co złego podejrzewać!.. Robią swoje i tak zdają się być zajęci i przejęci granie, tak mu się całą duszą oddają, że niepodobna, aby co innego mogło ich kiedy w życiu zajmować. Jest ich czterech: jeden ze skrzypkami stoi na przodzie, a trzech inni, z klarynetem, trąbką i bębenkiem, za nim. Skrzypce wiodą rej, a grający na nich muzykant pod każdym względem zasługuje na to, aby prowadził rej. Żeby przekonać się o tem, dość obejrzyć go od stóp do głowy. Odrazu poznać w nim Cygana, bo śniady i czarnowłosy i ma w twarzy ten wyraz, na pół złośliwy i łagodny, na pół zuchwały i pokorny, który cechuje Cyganów; lecz z po za tego wyrazu przebija się jakieś zaufanie w siebie, jakieś przejęcie się poczuciem własnej godności... Nie małażbo to godność, być przewodnikiem orkiestry, mistrzować sercom ludzi, przewodnicząc im w radości i prowadząc je do

niej!... Smyczkiem swoim wodzi on po strunach, a serca ludzkie drżą, jakby mu się podstawały pod smyczek. Snadź rozumie to Cygan, bo jakoś hardo i butnie wygląda. Oparł od niechcenia skrzypce o piersi, przekręcił bokiem i od niechcenia przebiera palcami po strunach i lata po nich smyczkiem, i zdaje się, że to nie on gra, ale instrument sam przez się wydaje z siebie tony, śpiewa niby ptak, który zamiast na gałęzi, usiadł na piersi Cygana. Czarne, gęste włosy, polyskujące jak pióra krucze, lecz wcale niestarannie utrzymane, rozpadają się bezładnie po głowie i czole. Czoło podniesione, oczy błędzą gdzieś po horyzoncie niebieskim, noga prawa wyciągnięta naprzód znaczy takt podnoszeniem i opuszczaniem stopy, bez odejmowania pięty od ziemi. W ubiorze widać fantastyczną wymyślność w połączeniu z nieporządkiem i nieczystością. Na obcisłych spodniach huzarskich, bardzo suto na wszystkich szwach wyszytych i jeszcze nowych, odbija się kilka dużych plam. Buty także huzarskie i także nowe, ozdobione u wierzchu cholew obszyciem i kutasem, raz tylko widać i to u szewca spotkały się z szuwasem. Grzbiet okryty starym granatowym spencerem, z pod którego wygląda straszliwie brudna koszula, nie związana pod szyją i podarta na piersiach, a wystawiona na widok publiczny, gdyż Cygan lewą klapę od spencera zarzucił aż na ramię, zsunawszy nieco rękaw, dlatego zapewne, aby mu odzież nie zawadzała w graniu. Za nim stali szeregiem trzech jego towarzysze, o których, jako o podrzędniejszych figurach, pisać nie będę, a przed nim roztaczały się szranki taneczne, otoczone gęstym kołem widzów.

Nie wiem doprawdy, o kim pierwiej pisać: o widzach, czy o tanecznikach, bo i jedni i drudzy na jednakową zasługują uwagę; lecz ponieważ ważniejszą jest rola tancerzów, przeto odłożę ich na koniec.

Widzowie nie samym tylko wzrokiem brali udział w zabawie. Nuta czardasza wpływała i na nich i sprawiała na muskułach ich ciał galwaniczne wstrząśnienia. Starzy ludzie kiwali głowami, ruszali twarzami i brwiami, i od czasu do czasu jakby z przestrachu rzucali ramionami. Baby uśmiechały się ciągle trwającym uśmiechem i prostowały się, jakby je co podnosiło. Dzieci pootwieraly gęby, powkładały w nie palce i machinalnie z nogi na nogę przestępowały. A cały ten tłum ścieśniony starców, bab i dzieci parł ku środkowi, tylne szeregi wspinały się na grzbiety przednich, jakby im wszystkim koniecznie o to chodziło, aby widzieć tańczących, aby nie tylko poić muzyką słuch, lecz jeszcze widokiem czardasza karmić wzrok, ja'by nigdy czardasza nie widzieli, nie słyszeli.

Słyszeli go oni nie raz i nie sto razy, a jednakże tym razem warto było nań popatrzeć, bo wystąpiła w nim para, która nigdy jeszcze tańczącą razem nie była widzianą. Było par dużo, dziesięć, a może i więcej i żadnej nie brakło na ochocie. Dziewczęta, ująwszy palcami fartuszki i pospuszczawszy oczy, niby pływały przed chłopcami, którzy srożyli się i junaczyli, pobrzękując ostrogami, chociaż nie byli żołnierzami, ani kawalerzystami, lecz byli... Węgrami, a Węgier bez ostróg jest jakby niepełnym człowie-

kiem. *Madiarcm-ber* <sup>1)</sup> musi mieć koniecznie ostrogi, a szczególnie występując w czardaszu. Jest to narodowe uprzedzenie, posunięte do takiego stopnia, iż Węgrzy mniemają, jakoby ich kraina miała osobnego swego boga i jakoby bóg węgierski nosił ostrogi i ubierał się po huzarsku. Jest w tem jakiś zabytek wyobrażeń pogańskich, które chrześcijaństwo tylko zmodyfikował, lecz ich bynajmniej nie zatarł. Madiar ma siebie za najszlachetniejszą w całej ludzkości istotę, a wszystko swoje uważa za najlepsze i chociażbyś mu perswadował i dowiódł jak najdokładniej, że chodzącemu piechotą człowiekowi niepotrzebne są ostrogi, a w tańcu zawadzają, Węgier wysłucha, przekona się, ale ostróg nie zarzuci. To też wszyscy prawie młodzi ludzie, tańczący na podwórzu Sawy Simicza, byli przy ostrogach i ubrani byli nie ze wszystkim po huzarsku, ale tak, że w stroju każdego z nich jakaś część była huzarską; jeżeli nie buty, to spodnie, nie spodnie to spencer, nie spencer, to bodaj czapeczka, a jeżeli nie czapeczkę miał na głowie, to kapelus z piórem i szeroką wstążką. Dziewczęta miały na sobie stroje różnobarwne, w których także coś huzarskiego przebijało się, występując to w szamerowaniach na kaftanikach i stanikach, to w wyszywaniach na spódniczkach. Spojrzawszy na tę gromadę ludzi, starych i młodych, mężczyzn i kobiet, od razu poznać można było, że należy ona do narodu żołnierskiego, mającego i w pokoju nawet gusta rycerskie, które nie mając do czego innego, zastosowuje

<sup>1)</sup> Magyar-ember, madiar-człowiek—tak Węgrzy nazywają siebie.

do powszedniości codziennego życia: do ubrania, do sposobów mówienia, obchodzenia się, słowem — do wszystkiego.

Wesoło szły tańce młodzieży i żywym zajęciem przejmowały widzów. Młodzież ta i widzowie ci, wszyscy bez wyjątku należeli do średniej klasy mieszkańców krainy węgierskiej. Nie byli oni szlachtą, ani wieśniakami, lecz mieszczanami, obywatelami jednego z królewskich miast, nazywającego się Szegiedynem.

Znanem jest w świecie nazwisko Szegiedynu. Nie jest ono z liczby owych tysięcy miast, rozrzuconych po powierzchni Europy, które niedość nazwać, trzeba jeszcze napisać, gdzie które z nich leży. Każdy wie, że Szegiedyn leży nad Cisą, w tem miejscu, w którym do rzeki tej wpada druga rzeka, Marosz; lecz każdy, wiedząc o tem z mapy, zna tylko małe kółeczko, reprezentujące Szegiedyn, i dwie wężykowate nakreślone kreski, z których wzdłuż jednej, idącej od północy na południe, napisano: *Cisa* (*Tissa* albo *Theis*), wzdłuż drugiej, kręto przebiegającej ze wschodu na zachód—*Marosz* (*Maros*). I tyle. A kto jest ciekawszym, wyszuka statystykę i dowie się z niej o ilości mieszkańców Szegiedynu, o ich zamożności i zatrudnieniach, a zajrząwszy do historii, znajdzie w niej karty zapisane czynami obchodzącymi ludzkość, których teatrem był Szegiedyn, przeczyta o walkach z Turkami, o bohaterstwie Zriniego, i może niedokładność geograficzną uzupełnić sobie własną wyobraźnią: wężykowate kreski rozedmie w rzeki, kółeczko rozruci miastem, postawi zamek albo twierdzę, którą otoczy zębczastymi murami lub wałami



z łosą i strzelnicami i będzie mógł na takim tle dzierżyć sobie jaki zechce obraz. I w obrazie tym, wyznać muszę, znajdzie się zawsze cokolwiek prawdziwe, bo rzeki do rzek, a miasta do miast tak są podobne w głównych rysach, że aby je jedne od drugich rozróżnić, potrzeba różnice wyszukiwać w szczegółach. Tak na przykład Cisę możnaby porównać do naszej Wisły, bo nie tylko, że płynie wśród równin, ale taką samą w wyobraźni narodowej odgrywa rolę, nazywając się madiarską rzeką, pomimo, że ten tytuł należałby się i Dunajowi, dlatego samego, że nad nim leży stolica kraju. Lecz za to nad Cisą więcej skupiło się madiarszczyzny, gęstsza i czystsza masa, w jej dolinie osiedli Jazygi i Kumani—to jądro narodości madiarskiej, do niej lub do jej dopływów przylegają: Tokaj, Tisa-Füred, Solnok, Jagier (Erlau), nią oblane są równiny, na których leży Debreczyn. Różnica pomiędzy Wisłą a Cisą zależy na tem, że ta ostatnia, na pewnym dość długim ciągu przebiegu swego, ma pokryte trzęsawiskami wybrzeża, a wody jej tak są mętne, a takie żółte, jakby nawpół z gliną były pomieszane. Marosz zaś, w górnej swej części do Gniestru, w dolnej, od Aradu do Szegiedynu, do którejś z poleskich rzek naszych możnaby przyrównać. W tej ostatniej części towarzyszą jej błota i moczary, porosłe w niektórych miejscach trzciną i osoką, w innych wierzbiną i łożą. Wśród wierzbin i łożyn, ozieleniona i ocieniona, wpada ona do Cisy i wspólnie z nią aż do Dunaju toczy wody swoje.

Prawy brzeg Maroszy wygląda u ujścia niby ogromny ogród, niby las ostrym kątem pomiędzy dwiema wciskającą się rzekami. Lecz zawiodłby się sro-

dze, ktoby po tym ogrodzie, czy lesie zechciał przechodzić. Są tam przejścia, ale tajemnicze, chodzą tam ludzie, ale tylko tacy, którzy przykładem starszych lub wielkim trudem, okupionym własnym doświadczeniem, nauczyli się stawiać kroki swoje tak, aby wymijając trzęsawisk otchłanie, stawiać je na kępkach lub na splatających się korzeniach drzew wodnych i roślin. Jest tam przejście i wyraźniejsze, ciągnące się nakształt grobli, krajem, nad brzegami obu rzek, które odkrywa się tylko latem, gdy wody się zniżą i służy do holowania idących pod wodę statków. Przejścia zaś wewnętrzne, tajemnicze, służą dla myśliwych i rybaków, ścigających tam wodne ptastwo i ryby, będące jedynymi mieszkańcami tych wideł, które prawie wybrzeże Maroszy formuje z lewem Cisy.

Przeciwnie tym widłom wybrzeże Cisy wygląda także jak ogród, z tą jednakże różnicą, że pomiędzy drzewami przelazają białe ściany domków i czerwone ich dachy, wyskakujące jedne ponad drzewa, drugie osłonięte konarami tak, że ledwo, ledwo dojrzeć je można. Rozrzucone są one bezładnie na dość znacznej przestrzeni prawego brzegu Cisy i formują duży, zielony, nieregularny kwadrat albo raczej szmat, którego jedną stroną jest Cisa, drugą miasto, a dwiema innymi pola. Jest to północne przedmieście Szegiedynu, stanowiące pewną symetrię z wierzbowym lasem lewego brzegu rzeki, która, zdaje się, jakoby jeden kawał rozdzieliła swoim korytem na dwie połowy, dlatego aby podплыć pod stopy Szegiedynu.

Szegiedyn w owym czasie, z którego jest wy-



jęte to opowiadanie, tak jak dziś rozstadał się na obu wybrzeżach Cisy, lecz główną masą swoją leży na prawem, a na lewe przerzucił się kilkudziesięciu za ledwie domami, jakby na to tylko, aby nie pozostać opróżnionym podniesionego nieco gruntu, który wydał się i cyplem wsunął się pomiędzy Maroszę i Cisę, stanowiąc kontrast z symetrycznym do niego przeciwnym wybrzeżem Maroszy: — tu miasto, tam zielone i głucho trzęsawiska. Szegiedyn dziś nie wyróżnia się niczem szczególnem. Jest to miasto na wzór i podobieństwo wszystkich miast europejskich: ma brukowane ulice, rynki, domy piętrowe i niepiętrowe, sklepy, szylidy, kościoły. Na niektórych mapach znaczą go gwiazdką, jak twierdzą, lecz twierdzą nie można nazwać starego, zaniedbanego zamczyska, leżącego w środku miasta, wśród domów i zabudowań dominującego wprawdzie, lecz bynajmniej do żadnego wojennego, wyjąwszy na magazyny, składy lub więzienie, nie mogącego służyć użytku. W dawnych czasach było ono twierdzą i stawiało groźny opór Turkom, dziś jest tylko malowniczym pomnikiem przeszłości, wznoszącym się ponad nowoczesnym miastem i przesłanicznie prezentującym się, gdy się nań patrzy z lewego wybrzeża Cisy. Uwydatniają się wówczas czerwone jego mury, zęby i strzelnice, a uwydatniają się tym kolorem poczerniałej czerwoności, zbitej czasem i niepogodami, która wieki na myśl nasuwa. Widzicie je podniesionem na wzgórzu i otoczonem dokoła, niby potomstwem, domami miasta, które mu służą, niby pstry podkład, oddzielający je od Cisy i od zielonego przedmieścia.

Na tem to przedmieściu stał w czasie naszego

opowiadania domek Sawy Simicza, na podwórzu którego grzmiała muzyka, szły tańce, które zgromadziły przedmieszczanów, jakby na obchód uroczystego jakiego rodzinnego święta. Był to rzeczywiście obchód, ale nie było żadnego święta ani publicznego, ani rodzinnego, ani nawet nie była to niedziela. Zkądże przyszło staremu Simiczowi, który powszechnie był znanym, jako bardzo oszczędny i skrzętny człowiek, nie wyrzucający grosza na zabawy, sprosić gości, przywołać muzykę i urządzić zabawę? Dziwiliby się temu ludzie, gdyby nie wiedzieli, że powodem tej hojności było przybycie Szandora Kowacza.

Oddawna, bo prawie od początku roku, Simicz zapowiadał:

— No, w tym roku nareszcie przyjdzie Szandor!... Trzeba go będzie przyjąć jak należy, aby od razu podobało mu się rodzinne gniazdo.

I powtarzał to codzień każdemu, kogo spotkał, i każdy wiedział, że Simicz o nikim nie myśli, tylko o Szandorze, i dlatego, kto się tylko z nim spotkał, uprzedzał go zapytaniem:

— Kiedy Szandor przyjdzie?

— Dziś, może jutro — odpowiadał Simicz — powinienby przyjść niezadługo, bo mi się śniło, że jakichś obcych ludzi do domu mego wprowadzał... Ale jakichże obcych mógłbym wprowadzać?... Chyba tylko Szandora, który nie jest ani synem, ani żadnym moim krewniakiem... To Szandor przyjdzie, nie kto inny tylko Szandor i to niezadługo.

To jednakże Simiczowe „niezadługo“ ciągnęło się przez trzy kwartały bez mała. Przeszła zima, Szandora nie było; minęła wiosna, o Szandorze nikt

wieści do Szegedynu nie przyniósł; przeminęło i lato, bez wieści o nim, aż nakoniec w jesieni zjawił się niespodzianie, jakby z nieba spadł.

Simicz uradował się, ale nie zdziwił.

— Wyglądałem ciebie od rana — rzekł po powitaniach — byłem pewny, że dziś przyjdiesz... No siadajże i odpoczywaj.

Szandor rozglądał się po izbie i rozdawał powitania domownikom Simicza, którzy stali przed nim w postaci dwóch kobiet — niemłodej i młodziutkiej; a twarze tych kobiet jaśniały uśmiechami radości. Coś one mówiły do Szandora, lecz Simicz przerwał:

— Będziecie mieli czas nagadać się, ile się wam podoba!... teraz dajcie mu odpocząć.

Posadził Szandora przy stole, sam usiadł naprzeciwko, a pomiędzy sobą a nim postawił kufel z jagierskim winem.

— Już ludzie zaczynali śmiać się ze mnie — powiadał — zapytywali mnie, kiedy przyjdiesz, a ja ciągle odpowiadałem: dziś... Omyliłem się ze trzysta razy, ale przecie raz zgadłem...

I śmiał się stary, nietyle z trzechsetkrotnych omyłek swoich, ile z radości, jaką mu sprawiał widok Szandora, któremu ciągle coś prawił, którego wciąż o coś zapytywał, a nigdy nie dawał mu odpowiadać.

Wieść o przybyciu Szandora gruchnęła natychmiast po przedmieściu i za stołem, przy którym Simicz z Szandorem siedzieli, poczęły jedna po drugiej zasiadać rozmaite postacie, które wszystkie spieszyły z powitaniem przybysza i z powinszowaniem staremu, że nakoniec doczekał się długo oczekiwanego go-

ścia. Na stole pojawiały się kufle i puławy. Rozmowa przemieniła się w gwar. Każdy mówił, mówił głośno, jedni drugim przeszkadzali, ale nikt nie gwałcił się. Aż ktoś krzyknął raptem:

— Banda!...<sup>1)</sup>

I wszyscy umilkli na chwilę.

— Banda!... — powtórzyli chórem.

— *B... a terem tiezen, a zania!*... — wołali Węgrzy, klęcząc na oznakę radości — nie mogła zjawić się w lepszą porę!... Ci Cyganie muszą mieć dyabła w sobie, bo nigdy po nich posyłać nie trzeba!...

Simicz wstał i wyszedł na podwórze. Cyganie uszykowali się i poczęli grać i, zaimprovizowała się zabawa. Ludzie zeszli się na podwórze, a w izbie na stole stały dla nich kufle z winem. Kto chciał, to zaglądał do izby; kto nie chciał, poprzestawał na tańcach i muzyce. Nie było proszenia, ani przymusu. Pili, bawili się, idąc za głosem własnego upodobania i pociągu do zabawy, której pogoda sprzyjała, pogoda jesienna, ale jasna, sucha i ciepła.

Dowiedzionem to już jest i doświadczone po wszechennie, że najlepiej zwykle udaje się nieproszona zabawa, kiedy serca ludzkie rozwesela się, nie wiedzieć zdaje się od czego, kiedy je ogarnia szal jakiś, opanuje jakiś rodzaj zapomnienia się, skutkiem którego człowiek chciałby się śmiać i śmiać, skakać, biegać, wywracać koziolki, jak dziecko, jakby raptem znikły dla niego te lata, które nakazują mu być poważnym. Zapomnienie się takie nigdy nie przytrafia się na etykietalnych, konwencyonalnych zgromadze-

<sup>1)</sup> Banda — orkiestra.

niach, zwanych balami, na których każdy ma w sercu rodzaj termometru, mierzącego stopień podniesienia się temperatury krwi. Zbyt podniesiona temperatura nazywa się nieprzyzwoitością, od której każdy zasłania się odmierzoną uśmiechem, odmierzoną ruchem, odmierzoną wylaniem się radości.

U Sawy Simicza nikt nie zastanawiał się nad znaczeniem tego wyrazu: „przyzwoitość“. Komu wezbrało serce, to krzyknął, albo tupnął jak mu się zdawało najlepiej i nie troszczył, czy się to komu podoba lub nie. Okrzyki: „haj-hu!“ i oderwane jakoweś wyrazy, głoszące radość, rozlegały się co chwila. Jedni drugim dodawali ochoty.

Jakem powiedział wyżej, pomiędzy tańczącymi była jedna para, która szczególnie zajmowała wszystkich. Parą tą był Szandor i młode siedemnastoletnie dziewczę, ale tak śliczne, iż rzeczywiście warto było zajmować się niem. Dobraliżbo się oni!... gdyż i Szandorowi natura nie poskąpiła urody. On silny, mocno i szykownie zbudowany, młody, bo nie więcej jak dwadzieścia dwa lata wieku liczący, ona smukła, wiotka, prawdziwy rozkwitający z pączka kwiatek, który niezupełnie się jeszcze rozwinął, ale pokazał już światu to, co ma najpiękniejszego. Szandor wyglądał na prawdziwego Madiara, był bowiem brunetem, rysy twarzy miał wydatne, ostre, chociaż młodość zaokrągliała wydatności, wypełniając je czerstwem, zdrowym ciałem, nieco śniadawem i w samą miarę ukolorowanem lekkimi rumieńcami. Nos, oczy, czoło, usta były kształtne i regularne. Na zwierzchniej wardze zamszył mu się gęsto wąs czarny, zapowiadający zawieszistość i odbijający doskonale od

zuchowatości, która była ogólnym wyrazem, rozlanym na całej postawie i na twarzy Szandora i strzelającym mu z oczu. Patrzył on, wyrażając się technicznym terminem, na oczajduszę.

Dziewczyna zaś wcale inaczej wyglądała, bo najprzód, kto zna Węgrów, nie wziąłby jej za Węgierkę, a powtóre, była tak lekką, taką jakąś, że tak powiem, przezroczystą, jakby nie do ziemskich istot należała. Może taką odmalować można, ale opisać takiej nie można, gdyż niepodobna tak dobrać wyrazów, aby niemi dać dokładne wyobrażenie o złotawym kolorze jej włosów, o przejrzystości jej błękitnych oczu, o zagięciu jej brwi, o gładkości i pogodzie czoła, o kształcie ustek i noska, o całym nakoniec wyrazie oblicza, które jakoś i dumnie, i lekliwie, i łagodnie, i czule na świat Boży patrzyło, a tak ku sobie pociągało, że kazało się kochać i szanować. A z twarzą harmonizowała cała postać, owiana dziwnym urokiem piękności i tej prawdziwie niewieściej miękkości, która zmusza nas szukać porównań dla kobiet aż w niebie u aniołów.

I to śliczne dziewczę tańczyło naprzeciw Szandora, a widzowie, przypatrując się im, nie mogli powstrzymać się, żeby nie powtarzać:

— Ależ para!...

— To para!...

— Co para, to para!

I dodawali klątwę, po węgiersku, bo bez klątwy nie zdawałoby się im, aby pochwała mogła być dostateczną.

Szandor, czy ze znużenia podróznego, czyli też z zapatrzenia się na swoją tancerkę, nie hulał bar-

dzo zapamiętałe. Roził on to samo, co i inni, podskakiwał gdy tego było potrzeba, przebierał nogami, ale nie z takim, jak na rodowitego Węgra przystało, przyciskiem. Tancerki twarz zapłonila się rumieńcem, który ukarminował jej lica cale tak, że zdawało się, iż krew tryśnie porami skóry. Szandor tańcząc, przypatrywał się jej z wyrazem czułości; ona na Szandora spoglądała wzrokiem takim, jakby za każdym spojrzeniem chciała mu powiedzieć:

— Kocham ciebie.

Taniec, to zbliżał ich, to oddalał.

— Szandor, *galambum* (gołąbku)! — szepnęła dziewczyna, gdy znalazła się obok tancerza swego — puść mnie!... ja z tobą tańczyć nie mogę.

Szandor się zatrzymał, wziął dziewczynę za rękę i odchodząc z nią ku tłumowi widzów, aby nie przeszkadzać tańczącym, nachylił się do jej ucha i cichym mówił głosem:

— Czemuż, *lelkiem* (duszko), nie możesz tańczyć ze mną?... Czyż mnie już nie kochasz?..

— Ja!... ciebie!... — rzekła dziewczyna i spojrzała nań z wyrazem lęklivej wymówki.

— Możesz pokochała kogo innego?

— Kogóż innego mogłabym pokochać, żeby nie pogniwiali się na mnie ojciec i matka?... Nikogo, Szandor, nikogo nie kocham, tylko ciebie, ciebie jednego.

I mówili to sobie przy jasnym świetle dniem, przeciskając się wśród tłumy ludzi. Lecz nie wstydzili się snadź światła dziennego, a tłum ludzi nie słyszał ich rozmowy, bo wyrazy jej głużyła muzyka, pokrywało zapamiętałe tupanie taneczników;

a gdyby kto i słyszał, to nie zdziwiłby się tym wynurzeniom, bo ujrawszy ich odchodzących, tak sobie widzowie myśleli:

— Idą... nic dziwnego!... Szandor zmęczony, dziś przyszedł z dalekiej podróży, potrzebuje wypocząć... Ona odchodzi z nim razem... i w tem niema nic dziwnego!... Wszak oni narzeczeni...

Przecisnęli się przez wianek widzów i udali się ku drzwiom domu. Szandor mówił:

— Czemużeś nie chciała tańczyć ze mną... wyraźnie: ze mną?

— Nie wiem czemu — odparło dziewczę. — Słabo mi się robiło... nie czułam ziemi pod sobą... jakiegoś gorąco przechodziło po ciele:

— A jeżeli tańczysz z kim innym?

— A, to mi ani słabo, ani gorąco... Ja wolę siedzieć obok ciebie, niż tańczyć z tobą... Ach, bo też ta muzyka!... Gdyby to można tańczyć bez muzyki!...

Na muzykę dziewczę zwała odpowiedzialność za własne serce. Szandor to zrozumiał i zmienił rozmowę.

— Spieszyłem do was — rzekł — tęskno mi było, *lelkiem*, za tobą...

— Ach! a jak ja tęskniłam za tobą!... Codzień z matką mówiłyśmy o tobie... Ale już się skończyła tęsknica... już nie odejdziesz nigdzie? nie opuścisz nas? zostaniesz z nami na zawsze?... nieprawdaż?...

— Nigdzie... nie... zostanę!... — potrójnie odpowiedział Szandor na potrójne zapytanie.

— Szandor, *lelkiem!* — jak ja się cieszę tobą!... jak skarbem jakim najdroższym — rzekło dziewczę

zatrzymując się i spoglądając na Szandora tak, że jej oczami całe jej serce przemówiło.

Za takie spojrzenie i za takie wynurzenie pada się w odwet na kolana i byłby to Szandor niezawodnie uczynił, gdyby choć jeden romans w swoim życiu przeczytał. Jakże-bo na podobną zaczepkę odpowiedzieć!... Byłem i ja niegdyś, o! dawno już temu, w tenże sam sposób zaczepionym—i odpowiedziałem:

— Alboż ty myślisz, że i ja nie cieszę się tobą.

Była to, przyznam się, nienader mądra odpowiedź; lecz cóż robić, jeżeli na gorącym razie nie można zdobyć się na inną!... Tak samo znalazł się Szandor i odpowiedział, jakby moją odpowiedź podслуchał i wyuczył się jej dosłownie na pamięć:

— Alboż ty myślisz, że i ja nie cieszę się tobą!...

I rzeczywiście młoda ta, przesłiczna para cieszyła się sobą w całym, najrozleglejszym tego wyrazu znaczeniu. Dziewczyny rączka spoczywała w dłoni Szandora, jej rączka mała, zgrabna, delikatna i biała, taka, jakiejby się żadna księżniczka nie powstydziała, w jego dłoni czarnej, grubej, zapracowanej, pokrytej szorstką i twardą jak łub skórą, którejby się, nie mówię księżniczka, nie mówię nawet księżę, ale prosty elegant, z tych elegantów podlejszego gatunku, nie śmiał ani dotknąć. Kontrast rąk był rąjący; lecz ani dziewczyna, ani Szandor na ten kontrast najmniejszej nie zwracali uwagi. Z ich rozmowy, którą przytoczyłem, ze spojrzeń, jakie dziewczę w oczy Szandora posyłało, zmiarkować możecie, mili

czytelnicy, jak się oni kochali. Chodziło mi o to, aby tę ich miłość odrazu pokazać i dlatego zaznaczyłem wyraz „w oczy“, żeby wykazać, iż gdyby ona obrzucała go wzrokiem od stóp do głowy, to byłby to nie-dobry znak, z którego czytelnicy mogliby na samym wstępie powieści powziąć wątpliwość o potędze kochania dziewczyny. Nie patrzyła się ona ani na jego odzież, ani na jego ręce, ani na jego nogi, tylko wlewała się sercem do „zwierciadła duszy“ kochanka. A gdyby patrzyła na to wszystko i porównywała ze swojemi, to cóżby z tego wypadło? oto odzież Szandora była podróżna, przypruszone i podszarzana, a jej nowa i świeża, ręce jego były grube i czarne, a jej białe i delikatne; nogi jego ozute były w wielkie z jałowiczej skóry buty, sięgające cholewami aż do kolana, a na jej nóżkach białe czyste i świeże pończoszki, chowające się na stopach w zgrabne, małe trzewiczki. Porównanie więc wypaśćby musiało na czyjaś niekorzyść. Ona jednakże ani pomyślała o tem, chociaż wiem, że bohaterce naszej weźmie to za złe niejedna z tych dam wielkiego świata, co to ma zwyczaj mieć ciągle w podejrzeniu świeżość rękawiczek swego kawalera. Upредить tedy muszę, co się już zresztą z samego toku niniejszego opowiadania pokazało, że bohaterka nasza nie była damą z wielkiego świata i dlatego może i nie oglądała swego kochanka od stóp do głowy i kochała go, jak się sama wyraziła: „jak skarb najdroższy“.

Zatrzymali się oni u otwartych drzwi domu Sawy Simicza i jakby na powitanie ich, huknął przez nie okrzyk:

— *Elien* <sup>1)</sup> Szandor i Marijka!...

Oznaczało to, że wewnątrz domu jest zajętem i że tam nie próżnują. Nie weszli więc przez drzwi, lecz powoli, rozmawiając, oddalili się w głąb podwórza i usiedli na ławeczce pod rozłożystą jabłonią, o którą stały oparte będące na dokończeniu koła wozowe, osie, drabiny i rozmaite deski i drzewa. O czym oni rozmawiali? Może wywoływali dawne wspomnienia, lub tworzyli obrazy przyszłości?... Mogli bawić się jednym lub drugim, ale mniejsza o to, mało nas to już obchodzi. Wiemy, że się kochają, to dość dla nas; nie będziemy więcej ich rozmów miłosnych powtarzać. Niech gruchają sobie, jak gołębie lub turkawki. Czuję się tylko w obowiązku udzielić do publicznej wiadomości spostrzeżenie, które zrobiłem pod względem cech zewnętrznych kochania w ogólności. Oto, włączając się po świecie, zauważyłem, że cechy owe są kosmopolityczne, to jest: wspólne wszystkim narodom i jednakie u wszystkich. Kochanie nie da się podzielić i poklasyfikować na węgierskie, polskie, niemieckie, tureckie i t. d. Bywa ono większe lub mniejsze, prawdziwe lub fałszywe, ale jednakowym sposobem objawia się u Węgra, Polaka, Niemca, Turka i t. d. W niektórych narodach, jak np. u Francuzów, mają zwyczaj robić sobie z niego zabawkę. To co innego. To tylko zwyczaj zabawki tego rodzaju bardziej jest tam rozpowszechnionym; ale gdy wśród zabawki zdarzy się, iż się para jaka w sobie rozkocho, to przez te wszystkie przechodzić musi koleje, przez jakie każdy inny narodem przechodzi.

<sup>1)</sup> *Elien*—wiwat, niech żyje, słowiańskie: ziwio.

Przez te tedy koleje przechodzili właśnie kochankowie nasi i puszczała się na nie z ufnością, bo opatrzeni zobopólną wzajemnością, której nie mieli potrzeby przeprowadzać przez rozliczne przeszkody, bo była ona publicznie i powszechnie uznaną i pochwaloną; ażeby udowodnić uznanie to i pochwalenie, wejdźmy do domu Sawy Simicza i przysłuchajmy się rozmowie zastolnych biesiadników.

Biesiadnicy owi byli to ludzie poważni, pamiędzy którymi bodaj czy nie najpoważniejszym był Sawa Simicz. W oczach ich i na licach widać było lekkie podochocenie. Rozmawiali oni głośno, klęli dobitnie, bili nawet o stół pięściami — wszystkiego za tem, co oni mówili, ani podobna, ani potrzeba powtarzać, treść bowiem ich rozmów składała się z najrozmaitszych rozmaitości. Ograniczmy się przeto na powtórzeniu rozmowy Sawy Simicza z wąsatym sąsiadem.

— No! i cóż, *baraton* (bracie)—mówił wąsacz—kiedyż wesele?...

— Za rok!—odparł lakonicznie Sawa Simicz.

— Za rok! — powtórzył sąsiad — hm! i zaklął, gładząc wąsy, czemuż nie prędzej?

— A czemuż ma być prędzej!...—odparł Sawa, kończąc odpowiedź swoją kłatwami.

Ostrzedz muszę czytelnika raz na zawsze, że kłatwy w rozmowach Węgrów grają taką samą rolę, jaką u nas tak zwane przysłowia: „mości dobrodzieju, mocium panie, mospanie“ i t. p., z tym jedynie dodatkiem, że są powszechniejsze i stanowią konieczne okraszenie wszystkiego, co Węgier mówi. W przytaczaniu tedy ich rozmów nie będę tego okraszenia

używał tak przez oszczędność miejsca na papierze, jako też dla samej przyzwoitości. Niech jednakże czytelnik domyśla się kłatw w każdej rozmowie.

— Toż oni mają się kochać, tak, na sucho! — ciągnął Węgier.

— A niech się kochają!—odpowiedział Sawa—co to szkodzi!. Niech się dobrze poznają... Cóż to, *baraton*, ty myślisz sobie!... Czy ja mam zrobić tak: Szandor tylko co przyszedł z wędrówki, a ja mu zaraz mam pchać w rękę córkę!... Niech poczeka... niech się ponoblizuje, zanim dostanie!... Co się z łatwością dostanie, tego się potem nie szanuje... A Marijka *sib lania!* (piękna dziewczyna)—i mówiąc to, klasnął stary w palce i dodał, klnąc:—Warto za nią pochodzić i poczekać na nią... Ho, ho! namyślał się ja dobrze nad tem.

— To prawda, *baraton!*... to prawda!...—mówił Węgier—warto!... warto!... Niech czeka!... Niech tymczasem stanie do roboty...

— Ba!—przerwał mu stary, wyciągając rękę — co to, to nie!.. Niech przez cały rok nic a nic nie robi!...

— A! — zawołał wążacz, otwierając gębę i oczy.

— Niech nic nie robi!—krzyknął Sawa.

— Niech nic nie robi! — huknął wążacz i uderzył pięścią o stół.

— Elien! — zawołał ktoś z drugiego końca stołu.

— Elien! — podchwycili biesiadnicy chórem.

— Toś ty dobrze, Sawo-*baraton*, wymyślił — ciągnął Węgier, pociągnawszy haust wina i rozgła-

dzając wąży.—Niech przez cały rok Szandor nic nie robi... Ale—dodał po chwili milczenia — dla czegoż ma nie robić?

— A dla czegoż ma robić?—zapytał Sawa.

Węgra zaambarasowało to pytanie. Zamiast odpowiedzi więc, napił się wina i gładził wąży.

— Bo to tak—mówił Sawa—co młody, to młody!... Młodemu trzeba użyć świata...

— Prawda!... — przerwał głośno Wążacz — prawda, *baraton!*... Elien!... — ale tym razem nikt nie powtórzył okrzyku, a Sawa tak prawil:

— I ja, jakem był młody, to, pamiętam, w huzarach...

— Czy chcesz go, *baraton*, do huzarów oddać?

— Do huzarów?!... — rzekł stary tonem, w którym przebijał się wstręt — do jakich huzarów?... co to teraz za huzary!... Daremnie tylko chleb u Pana Boga jedzą... Dawniej cisar trzymał huzarów na to, żeby wojowali; a teraz... co z nich za pocięcha!...

Zaklął stary największą kłatwą, machnął ręką z pogardą—i napił się wina.

Węgier namarszczył się, pociągnął powoli całą garścią obydwą wąży i udawał, że się smuci i myśli.

— Haj-ha!... (w rodzaju westchnienia)—odezwwał się w końcu, kiwając głową poważnie.

A na podwórzu muzyka brzmiała. Tańce szły swoim porządkiem ze wzrastającym zapalem. Szandor i Marijka szeptali o czemś z sobą pod jabłonią. I wszystkiemu temu — tak muzyce, jak tańcom, jak cichej kochanków rozmowie, jako też i gawędzie sta-



rych za stołem — zachodzące słońce położyło koniec. Rozeszli się ludzie na spoczynek i spoczywali smacznie—bo jedni stańczyli się, drudzy podchmielili.

Cygan-skrzypek, odchodząc, zbliżył się pod jablońnię i przez chwilę w milczeniu, z uśmiechem na ustach, przypatrywał się młodej parze.

— Czego tak patrzysz?—zapytał go Szandor.

— Tak sobie!—odparł Cygan—przyjdę grać na wasze wesele.

— A wiesz, kiedy?... Może gdzie daleko odejdiesz i znaleźć ciebie nie będzie można?...

— O! ja się znajdę... i tam, gdzie mnie potrzeba, i tam, gdzie mnie nie trzeba—rzekł Cygan, i postawiwszy jeszcze przez chwilę, odszedł.

## II.

Potrzeba nam bliższą zabrać znajomość i z osobami, wchodzącymi do naszej opowieści, i z ich wzajemnymi stosunkami, i wejść w bliższe szczegóły miejscowości, w której odbyć się mają główne rzeczy dramatu. Zaczniemy od miejscowości.

Jest nią dom Sawy Simicza. Leży on, jak wiemy, na przedmieściu Szegiedynu, ciągnącem się na północy ponad Cisą i symetryzującym z zarosłami i trzęsawiskami przeciwległego wybrzeża rzeki. Szczegół ten powtarzam dla wrażenia go w pamięć czytelnika i przypomnę go jeszcze raz przy końcu powieści. Dom jednakże Sawy Simicza nie leżał nad samym brzegiem, ani też blisko od brzegu, przeciwnie — był on najbardziej oddalonym od Cisy pomiędzy wszystkimi domami przedmieścia; wysuwał się bowiem na pole, jako ostatni w szeregu przylegających do pola domów. Mieścił się on w głębi podwórza, otoczonego częstokołem i opatrzonego bramą i furtką, i opierał się o obszerny ogród, otoczony także częstokołem, a zarosły, jak lasem, fruktowemi drzewami. Do ogrodu tego nie przyznał Sawa ogro-



dnika i utrzymaniem onego sam się snadź bardzo pilnie nie trudził, gdyż nie było w nim wzorowego porządku. Ogrodzenie tylko utrzymanem było w całości, a zresztą drzewa rosły sobie bez żadnego pielęgnowania, wypuszczały odrośle, splatały się jedne z drugimi konarami, niektóre usychały i próchniały, pokrywała je pajęczyna, gnieździły się na nich ptaszki, a pomiędzy drzewami wyrastały krzewy, puszczały się pręty zpośród trawy i chwastów, któremi pokrytą była ziemia. Niektóre z drzew, wzdłuż ogrodzenia rosnących, po za częstokoł wysuwały konary i wabiły ku sobie dzieci przedmiejskie, gdy zpośród gęstwiny ich liści wyglądały rumiane jabłuszka lub gruszki, albo czerniały szeregi śliwek. Dzieci atakowały je wówczas kamykami i tykami i to ich atakowanie gniewało w najwyższym stopniu starego Sawę. Nie pielęgnował on ogrodu, ale nie pozwalał obrywać fruktów i robił na dzieci zasadzki, które mu się zawsze nie wiodły dlatego, że napastnicy mieli bezpieczne schronienie w kukurydzy, którą tuż za płotem Sawy ogrodu ogromny step zasiewano. W jesieni dojrzewały frukta i w jesieni step, jak okiem sięgnąć, pokrywał się zielonym lasem kukurydzianych badyli, rosnących w Węgrzech tak wysoko, że nietylko dziecka, ale człowieka na koniu zpośród nich nie widać. Łany te jednakże nie dochodziły aż do Cisy, — pomiędzy nimi a wybrzeżem był jeszcze duży szmat pustego pola, nagiego stepu, służącego na wygon dla krów mieszkańców przedmieścia.

Pośród tych łąnów kukurydzianych szła droga do Keczkemetu, lecz nie widać jej było ani z mieszkania, ani z ogrodu Sawy. Patrząc w stronę tej

drogi, na prawo oko gubiło się w zielonym przestworzu, którego granicą był widnokrąg, a na lewo widać było skrajni obręb miasta, a naprost rozlegało się obszerne pole — plac zamiejski, na którym odbywały się jarmarki. Plac ten wązkim klinem poczynał się od domu Sawy Simicza, rozszerzał się na wysokości miasta i rozszerzywszy się raptownie w tem miejscu, w którym go przerzynała Keczkemiecka droga, wyglądał za drogą jak step. Step ten jednakże nie był zupełnie pustym; na nim samotnie, w zupełnym odosobnieniu i w oddaleniu od miasta i przedmieść, stał dom wysokim otoczony murem, a obok domu stało murowane jakieś w kształcie bramy zabudowanie. Brama ta była — wrotami wieczności dla złoczyńców, szubienicą, a samotny, odosobniony dom, był mieszkaniem kata miejskiego. Szegiedyn bowiem wówczas posiadał *jus gladii*, na równi z kilku innymi uprzywilejowanymi miastami w Węgrzech, i miał wszelkie potrzebne do tego urządzenie. Z domu Simicza widzieć się dawały: szczyt dachu kaciego mieszkania i murowany wierzch szubienicy, i skutkiem optycznego złudzenia, zbliżającego między sobą leżące w dali przedmioty, zdawało się, iż przylegają one do łąnów kukurydzianych, chociaż te były od nich dobrze oddalone. Widok ten jednakże, nie bardzo — przyznać musimy — przyjemny, odkrywał się tylko przy jasnej pogodzie, po deszczu, kiedy wilgoć przybiła do ziemi kurzawę, która, rozbijając się z drogi piaszczystej, niby tuman, ciągle nad placem wisiała.

Zresztą żadnymi widokami z domu Sawy Simicza nie można było karmić wzroku, żadnymi pejza-

żami palcem natury malowanemi lub z pod rąk ludzkich wychodzącemi, gdyż nawet dojrzeć nie można było szegiedyńskiego zamku, z po za domów i ogrodów, których niemała liczba oddzielała go od miasta. Kukurydza, plac, drzewa sadów, poblizkie domy, ulica — oto były przedmioty, dające się widzieć z rozmaitych punktów obejścia: bądź z podwórza, bądź z ogrodu, bądź z okien. Na podwórzu rosła rozłożysta jabłoń, pod którą stało zwykle dużo drzew rozmaitych, rozmaicie poprzerębywanych i poprzyciosywanych; stała tam i ławeczka do siedzenia i ławica taka, jakiej używają bednarze do strugania obręczy, i wywrócony pień do ciosania i rąbania. Naprzeciwko jabłoni ciągnęła się w jednej linii z domem i pod jednym, tylko przedłużonym dachem szopa, zabudowana ścianami ze wszystkich stron, wyjąwszy tej, która wychodziła na podwórze. Nie było w niej sufitu, a na belkach, wiążących dach, widziałeś duży skład desek, drzew, słupów i słupków prostych i rozmaicie zakrzywionych. Takimiż deskami, drzewami, słupami i słupkami obstawione były wszystkie ściany szopy, pod którą pośrodku stał warsztat stolarski, a obok warsztatu, w nieporządku, stały bednarskie stołki, pieńki i rozliczne inne narzędzia, służące to do przytrzymywania, to do opierania obrabianego drzewa. Wióry i trzaski okrywały podłogę, a warsztat założony był rozmaitego kształtu i wielkości toporami, świdrami, dłótami, strugami, pilami i heblami. Moznaby pomyśleć, że to warsztat stolarski, gdyby koła, osie, drabiny, lusznie, dyszle, orczyki i inne składowe części wozu i bryczki nie

świadczyły, że szopa ta jest pracownią stelmacha, robiącego wozy węgierskie.

Do wyrazu „stelmacha“ dodałem umyślnie określenie „robiącego wozy węgierskie“, chociaż on w Węgrzech innych robić nie może, dla powiedzenia, iż wóz węgierski jest swego rodzaju doskonałością, a przynajmniej szczególnością. Nie widziałem nigdzie podobnych. Zbliża się on kształtem do tego, co u nas nazywają szarabanem, ma bowiem drabiny równe i dwa koszyki—z tyłu i z przodu. Koszyki te, wygięte, przytwierdzone na zawiasach od spodu wasaga i przychepione łańcuchami do zwierzchniej onego części, mogą się zamykać i odmykać. Odemknięte, powiększają długość wozu, czyniąc go dobrym do wozienia snopów, słomy, siana i do rozmaitych transportów; zamknięte — robią z niego bryczkę podróżną. Wozy te, zwane *koczi*, rozpowszechnione są w całych Węgrzech: jeżdżą niemi wielcy i mali, bogaci i ubodzy, zacząwszy od magnata do wieśniaka, z tą tylko różnicą, że magnat oprócz *koczi* posiada jeszcze karety i powozy różne, a wieśniak poprzestaje na samym *koczi*, i z tym dodatkiem, że *koczi* magnata jest malowany i opleciony, a wieśniaka—ni malowany, ni opleciony. Oryginalna jednakże bryczka węgierska nie powinna być oplecioną. Zaletami jej są lekkość, potoczystość i pakowność, i nawet pewien stopień zgrabności, bo chociaż nie posiada ona w formach swoich żadnych wygięć, ni zagięć, ale za to, we wszystkich częściach jest regularną i domierną, nie długą ni krótką, nie wysoką ni niską, nie szeroką ni wąską, a przytem wszystko w niej jest ostrugane i wytoczone należycie—i półdrabki, i koła, i dy-

szel, i odkute z całą elegancją sztuki kowalskiej, bez pomocy której dobry *koczi* obejść się nie może.

Takich to *koczi* majstrem, słynnym na całą szegedyńską okolicę, znanym i wspomnianym po wszystkich wsiach i *pustach*<sup>1)</sup> pobliskich, był znany już i nam w części Sawa Simicz. Ale, zanim bliższą jeszcze z osobą jego zabierzemy znajomość, wypada pierwszej poznać wnętrze pomieszkania jego, potrzeba opisać dom węgierski dlatego, żeby potem nie przerywać sobie w toku opowiadania wypadków, i jeszcze dlatego, żeby zawczasu oznajomić czytelników z ramami (jeżeli godzi się tak powiedzieć) tych wypadków, pomimo to, że ramy dorabiać się powinny po zupełnem skończeniu obrazu. Jest jednakże różnica pomiędzy opisywanemi a malowanemi obrazami, i w odniesieniu do pierwszych rami i tło tak się zlewają z sobą, że nielatwo je rozpoznać; i odkładając na koniec rami, można się omylić—można odłożyć tło, które później dorobione, wszystkoby popsuło. Owóż, obawiając się, aby popsuciu takiemu nie uległa powieść niniejsza, opiszę dom Sawy Simicza.

Dom Sawy Simicza leżał w głębi podwórza, oparty o ogród i schowany w nim tak, że tylko jedna frontowa ściana wychodziła na podwórze; a na tej ścianie były cztery okna i jedne drzwi, a nad tą ścianą nasuwało się duże ostrzesze gontowe dachu. Drzwi i okna umieszczone były we właściwych sobie miejscach, z zachowaniem najdokładniejszej symetrii, to jest: drzwi były pośrodku, a okna — po

obydwóch stronach drzwi, po dwa z każdej strony. Futrowania stolarskiej roboty, fugi w spojeniach ram, staranne dość obrobienie, a nakoniec i sama wielkość drzwi i okien świadczyły, że ten, co je kazał robić, lub co sam robił, nie tylko dbał o to, aby miał otwór do wejścia do domu i dziury do wpuszczania doń światła dziennego, ale także i o to, aby to i dobrze i ładnie wyglądało. Więcej o tej zewnętrznej ścianie niema co powiedzieć, sama bowiem ściana była gładką od góry do dołu, wybieloną i chowała się pod ocieniające ją ostrzesze, pod którym zawieszono były, na przytwierdzonych do krokwi łańcuszkach, długie żerdki, a na tych żerdkach, w rozmaitych czasach, rozmaite pojawiały się przedmioty: to wietrzące się półcie spomarańczowiałej od *papryki* (pieprz turecki) słoniny, to ciemno-fioletowe, a czasem aż czarne kielbasy, to woreczki z serem ociekające serwatką, to gierlandy nanizanego na sznury *dohanu* (tytoniu). Do wnętrza domu wkraczało się bez pośrednictwa żadnego ganku, ani wystawy, i wchodziło się odrazu do obszernej sieni, idącej na przestrzał przez całą szerokość domu i opatrzonej czworgiem drzwi, także na przestrzał; z sieni bowiem, okrom podwórza, wychodziło się jeszcze i na ogród, i do dwóch przeciwnych sobie izb mieszkalnych. Sień to była, jak mówiłem, obszerna i bez sufitu; ponad nią wznosił się murowany, przykryty daszkiem komin, w którym wiecznie wisiały rozmaite członki wieprzowe. Od jednego oka rzutu rozpoznać można było, że sień ta służy zarazem jako kuchnia; w niej bowiem było przymurowanie z fajerkami i stał długi stół kuchenny, a jedna ze ścian zawieszoną była łąkami, łądel-

<sup>1)</sup> *Pusta*—folwark stępowy.

kami, kościolkami, durszlakami, patelniami, garnkami, chochlami i t. d., a także znajdowała się tam i duża szafa, której półki zapelnione były talerzami, salaterkami, wazami, półmiskami, szklankami, misami i różlicznymi innymi tym podobnymi i tym niepodobnymi sprzętami i materyałami. A prócz tego wszystkiego, w tejże sieni były jeszcze i ławki i stolki i niziutkie stołeczki, i pomimo tego wszystkiego, było w niej przestronno dlatego, że każda rzecz ustawiona była na właściwem miejscu; przymurowanie z fajerkami przytulone było do środka ściany lewej od wejścia; za przymurowaniem, także pod ścianą, stał stół, naprzeciwko była szafa, a dalej stolki i ławeczki i ani znać było tych sprzętów. Były w sieni jeszcze i piąte drzwi, obok stołu, lecz o nich pomówimy później, teraz trzeba, żebyśmy zajrzeli do izb mieszkalnych.

Wewnętrzne rozporządzenie domu było bardzo proste: na prawo z sieni wchodziło się do jednej izby, a na lewo do drugiej i na tych dwóch izbach wszystko się kończyło, dodawszy do nich jeszcze i komorę, do której prowadziły owe piąte drzwi, o których wspominałem wyżej. Izba na prawo była większą i miała trzy okna, z których jedno wychodziło na ogród; izba zaś na lewo była mniejszą i oświetlała się dwoma odpowórzowemi oknami;—pierwsza była paradną, druga powszednią, a obie opatrzone zarówno w bardzo starannie ułożoną z desek podłogę.

Paradność pierwszej izby zależała na wielkiej czystości, z jaką była utrzymana, i na wykwinności sprzętów. W niej widziałeś politurowane łóżka, ka-

nape i krzesła. Łóżek było aż trzy, z których z jednym spotykałeś się przy samych drzwiach, a dwa inne stały, jedno za drugim, wzdłuż od ogrodowej tylnej ściany. Były to łoża szerokie, ozdobione rzeźbą i wszystkie trzy zasłane aż pod sufit piernatami i poduszkami, przykrytymi białymi, spadającymi do samej ziemi, o haftowanych szlakach, kapami. Na przedłużeniu znajdującego się przy drzwiach łóżka stała kanapa, bardzo wygodna i o misternie zaginanych i rzeźbionych poręczach, zajmująca sobą całą prawie przestrzeń między oknami. Od kanapy poczynał się szereg krzeseł, który dochodził do kąta izby; od kąta ciągnął się wzdłuż drugiej ściany i przerwany pod ogrodowem oknem politurowanym, zakrytym czerwoną, kwiecistą serwetą stolikiem, dopierał do łóżka. Na środku izby stał duży jesionowy stół, już niepoliturowany, lecz tylko bejcowany, z pod którego wyglądały naprzód dwa szeregi podsuniętych podień stołków, a potem mocno okuty kufer. Z pod łóżek także można było rozliczne kuferki i walizki wyciągać. Ozdoba ścian składała się ze sporego zwierciadła, zawieszzonego nad kanapą, z umieszczonego w kącie obrazu Matki Boskiej z lampką srebrną, zawieszoną na łańcuszku—co oznaczało, że właściciel domu był wschodniego wyznania—i z kilku kolorowanych obrazów, z których jeden największy wyobrażał jakiegoś arcyksięcia w generalskim mundurze, i uderzał długim podpisem, wyliczającym wszystkie arcyksiążęce tytuły—wszystkie zaś inne przedstawiały bitwy huzarskie—jak huzary niemilosiernie tratali kopytami i siekli szablami Francuzów—i pod każdym z nich podwójny—niemiecki i węgierski pod-

pis, przypominający rozliczne bitwy i potyczki z epoki wojen napoleońskich.

Najszczególniejszym (nb. dla cudzoziemca, nie dla Węgra) w tej izbie, bo oryginalnie węgierskim, był piec, umieszczony przy drzwiach, po drugiej stronie pojedynczo stojącego łóżka. Nie dotykał on żadnej ściany, był koniczny, jak głowa cukru, ze świętym i obwiedzionym gżemsikiem wierzchołkiem. Obwód podstawy jego stał na niskim przypiecku, który otaczał go dokoła i formował tym sposobem dwa zapiecki, stykające się z sobą w zasłoniętym przez piec kącie izby. Przypiecki te i zapiecki wielkie zimową porą oddają usługi, piec opala się z ziemi.

Izba druga, różniąca się, jakem mówił, od pierwszej wielkością, nie różniła się od niej sprzętami i ich rozstawieniem. Brakło w niej tylko kanapy, na miejscu której stał stół usunięty ze środka. Środek więc był próżnym, a popod ścianami tak samo stały łóżka i stolki, tak samo na ścianach wisiały obrazy i zwierciadło; nawet obrazy byłyby takie same, gdyby nie bitwy, nie te, co w pierwszej izbie, bo co się tyczy arcyksięcia, to on i w drugiej także poczesne zajmował miejsce. Zwierciadło wisiało naprzeciw drzwi, nad stolikiem. Ale wszystkie te sprzęty w podległym były gatunku. Z łóżek jedno tylko wznosiło się pod sufit; dwa zaś inne, zasłane czysto, ale nisko, pozwalały położyć się na sobie w każdej dnia porze i usiąść, a nadto, ani na łóżkach, ani na stołach, ani na stolkach nie było politur, a stolki były drewniane, niektóre z poręczami, inne bez poręczy i te ostatnie opatrzone podłużną dziurką na środ-

ku, przeznaczoną na wkładanie ręki przy przenoszeniu stolka z miejsca na miejsce. Piec drugiej izby niczem nie różnił się od pierwszej.

Powodem mniejszości izby drugiej było to, iż część jej, od strony ogrodu, odcięta była na komorę, do której nie prowadzę czytelnika, bo i cóżby tam zobaczył? — Małe, wychodzące na ogród i mocnymi żelaznemi sztabami zakratowane okienko i beczki, sepety, worki, woreczki, butle, faski z mąkami, krupami, sadłami, olejami — słowem, wszystko to, czem i u nas, czem i wszędzie zapełniają się śpizarnie. Nie prowadzę go również do piekarni na dziedzińcu, w której była jedna izba i śpichlerz, ani do piwnicy, będącej także na dziedzińcu, nieopodal od jabłoni, w której dwoma szeregami beczki z winem stały; ale radziłbym mu zajrzeć na poddasze domu, na którym poprzyczepiane do łąt, wisiały polcie słoniny. A był tego zapas taki duży, że zdawało się, iż liczna rodzina w lat sto nie mogłaby go skonsumować. Zapas ten oznaczał zamożność gospodarza. Sąsiedzi, o których powiadają, że „wiedzą, jak kto siedzi“, wiedzieli o nim i wiedzieli także, że część tego przeznaczoną była na wiano dla córki; więc, mówiąc o przyszłości Szandora i Marijki, nieomieszkiwali nigdy dodawać:

— Szczęśliwy Szandor!... weźmie nietylko Marijkę, ale z nią razem i... pięćdziesiąt polci słoniny!...

W tym to domu gospodarzem i panem był Sawa Simicz, a panowanie jego rozciągało się nad całą rodziną, składającą się, okrom niego, z czterech jeszcze osób: z żony, której na imię było Anna, z cór-

ki Marijki, i z dwóch dobrze starszych od Marijki synów.

Nje wszyscy członkowie tej rodziny byli ciąglemi mieszkańcami tego domu. Jeden z nich, najstarszy syn, zwany Janko, zazierał tylko kiedy niekiedy, jako gość—przyjeżdżał zwykle raz na rok odwiedzać rodziców i krótko zabawiwszy, powracał do Karansebeszu, gdzie był pisarzem w kancelaryi audytoryatu wołochobanackiego pułku garnizonów. Drugi syn Łuka był w domu i zajmował przy ojcu stanowisko pomocnika w rzemiośle stelmacha, a właściwiej był on zastępcą, bo stary Sawa nie bardzo już pilnie i od niechcenia tylko brał się do roboty, tak, że Łuka, sam prawie, prowadził całą część roboczą gospodarstwa i dyrygował czeladnikami, których zawsze dwóch albo trzech było. Sawa rozporządzał robotą, czasami i sam wziął się do siekiery, świdra lub struga, ale to wówczas tylko, kiedy zdawało mu się, że, jak powiadał, „paskudzą.“ Wówczas, krzycząc i łając, zrzucał spencer, zakasywał rękawy od koszuli i raptem umilkłszy, z ogromnym zapalem wiercił, strugał i rąbał. Powtarzało się to co drugi, niekiedy co trzeci dzień i trwało jednym ciągiem dwa, trzy, a czasem aż cztery godziny, w ciągu których stary ułagał się, dobrzał, pod koniec żartował i rozstawał się zawsze w najlepszej harmonii i z synem i z czeladnikami. Syn i czeladnicy znali go pod tym względem doskonale; nie straszili się więc napadami gniewu jego, ale też ani słówka mu nie odpowiadali, bo najmniejsza odpowiedź jątrzyła go i ściągala na odpowiadającego plagi. Sawa porywał za pierwszy lepszy kij, co mu się nawinał pod rękę, i grzmocił.

I dawniejsi, oznajomieni z jego humorem czeladnicy, sprawiali sobie zwykle tę uciechę, iż tem grzmoceciem uczęstowali każdego świeżego przybysza.

— Jak tylko Sawa napadnie na ciebie, to mu się postaw ostro, to zmięknie jak wosk — powiadali mu.

Nowicyusz stawiał się ostro i dostawał za swoje.

— A co—pytali się go potem—nawoskował ci plecy?

Przez tę próbę każdy przejść musiał nowicyusz. Teatrem jej, jako też jedynem miejscem, w którym Sawa się gniewał, był warsztat pod szopą. Po za obrębem warsztatu stary nie umiał się gniewać, dlatego zapewne, że nie miał za co, ani na kogo. Żona jego była gospodarną, zapobiegliwą, a przytem dobrą i potulną kobietą. Przy pomocy służącej, którą zawsze trzymała, trudniła się ona całem domowem gospodarstwem i trudniła się w taki sposób, że służąca dopomagała jej tylko, wyręczając ją w cięższych lub bardziej obrudających robotach, jak np. w mieszeniu ciasta, w pomywaniu kuchennych naczyń, w zamiataniu izb i t. p. Sawiczowa jednakże przygotowywała, ustawiała, doglądała i sama ostatecznie do wszystkiego rękę przyłożyła. Sawa więc widział zawsze wszystko w porządku, niczego mu nigdy nie zabrakło, nic się nawet nigdy nie spóźniło i tak się do tego ładu i regularności przyzwyczaił, tak przejął się tem przeświadczeniem, że w sferze domowego gospodarstwa jego wmieszanie się jest niepotrzebnem, że nietylko nie mieszał się, ale nawet obawiał się mieszać, aby tego ładu i regularności nie

popsuć, i nigdy nie sprzeczał się, ani targował, kiedy żona żądała od niego pieniędzy na wydatki. Jedyną w takim razie oznaką jego niechęci było ciężkie westchnienie, po którym następowało stękanie. Anna mówiła wówczas:

— No... no... i cóż!.. przecież potrzeba kupić to, lub zapłacić za owo...

— Ah... — wzdychał Sawa Simicz—kiedyż bo to tak trudno teraz grosz dostać...

— A... to nie trzeba — odpowiedziała na to Anna.

— Jakto, nie trzeba!...—wołał stary i dodawał, idąc do kufra, w którym trzymał pieniądze:—jak trzeba, to trzeba... to cóż robić!...

Czasami zaś, gdy się sam na sam znajdował z żoną, zaczynał ją w ten sposób:

— Możeby dla tej biednej Marijki choć trzewiki, albo jaki kawałeczek wstążeczki kupić.

I gdy żona powiadała, że rzeczywiście Marijka potrzebuje wstążki lub trzewików, to Sawa dawał jej wtedy na trzewiki i dodawał na pończochy i spodniczkę albo kaftanik, i oprócz tego dodawał jeszcze i dla żony na suknię lub czepiec.

Pieniądzy swoich Sawa nigdy nie liczył, chociaż do przeliczenia ich przez całe zbierał się życie, ale nie mógł się zebrać. Trzymał on je pod sypialnem swoim łóżkiem w kufrze, od którego klucz nosił w kieszeni. Złożonemi, albo raczej zsypanemi one były w dwóch workach, z których jeden zawierał miedź, a drugi srebro—talary i cwancygiery; miał on i złoto, ale to składał do szkatułki, schowanej także w tym kufrze i do tej szkatułki dukaty wcho-

dzili, ale już z niej nie wychodziły na światło dzienne, i Sawa, jakby ich nie miał. W banknoty nie wierzył, a jeżeli dostał kiedy pięć lub dziesięć reńskich papierami, starał się zmieniać je lub wydać jak najprędzej, i resztę, jaka mu pozostawała, dosypywał do worków—srebro do srebra, miedź do miedzi. Dobytując na wydatki srebro z worka, podnosił go zwykle do góry, ważył w rękę, przypatrywał mu się przez chwilę i z zamkniętymi ustami, przez nos, odzywał się:

— U!... — co miało oznaczać: jeszcze tego jest dosyć!...

I rzeczywiście—było dosyć. Sawa miał pieniądze, które co dnia przybywały, i przychód zawsze przewyższał codzienne wydatki, a to dlatego, że wielu drobiazgow, jako to: drobiu, jaj, mleka, sera i t. p., nie potrzeba było kupować, bo Anna nietylko, że hodowała drób i miała od krów mleko na domowe potrzeby, ale jeszcze miała i na sprzedaż i za sprzedane na targu zaopatrywała spiżarnię domową w takie drobiazgi, których w mieście koniecznie kupić potrzeba.

W kufrze Sawy, okrom wymienionych wyżej worków i okrom szkatułki, był jeszcze jeden spory worek z pieniędzmi, starannie obwiązany i nawet opieczętowany, którego Sawa nietylko nie ruszał, ale nawet nie dotykał się, gdyż, jak powiadał:

— Do cudzego grosza, to i dotykać się nie można...

O tych pieniądzach pomówimy później, a teraz, z porządku, zabierajmy bliższą znajomość z Marijką.



Nie mam już potrzeby powtarzać tego, com o jej powierzchowności napisał. Ale wytłómaczyć muszę, dlaczego ona nie figurowała nigdzie w tym przeglądzie zatrudnień rodziny Simicza. Oto najprzód dlatego, że była taka ładna i trzeba było mieć kamienne chyba serce, aby takiemu ślicznemu stworzeniu kazać zmywać talerze lub siekać kotlety. Powtóre: niema w Węgrzech zwyczaju zaprzęgać dziewcząt do roboty, szczególnie, jeżeli zamożność rodziny jest taką, iż bez tego obejść się może, co właśnie—jak widzieliśmy—miało miejsce u Sawy Simicza. Marijka, z samego napatrzenia się, była w stanie wyręczyć i zastąpić matkę i nieraz chciała to uczynić, ale Anna odpędzała ją, mówiąc:

— Idź do swojej roboty!... pilnuj co do ciebie należy!... jak wyjdiesz za męża, to będziesz ile chcesz porać się koło kuchni, aż sprzykrzy się tobie...

Jakaż to była Marijczyna robota i czego to ona pilnować miała? — Haftowała, szyła, czasem cerowała i—bawiła się—i tak jej czas zbiegał od ranków do wieczorów dnia każdego, ustrojony przytem w kwiateczki rojeń młodości dziewczęcej. Miejscem jej uprzywilejowanem, gniazdkiem, w którym najdłużej przesiadywała, była kanapa. Na niej ona nawet, przy jednym z jej rogów, wysiedziała sobie zdaje się kotlinkę, którą dojrzeć można było, jak wklęsała nieznacznie na polyskującej powierzchni włosiennego materaca. Tam ona najczęściej przesiadywała z igłą, lub z naciągniętym na szerokiej, łubianej obręczy perkalem, i, to szyła, to haftowała, a szyjąc lub haftując, to śpiewała, to rola.

— Hej, jak ją daleko słyhać!...—powiadał Sawa, gdy srebrzysty a nieuczony jej głos rozlegał się po domu i zalatywał go, bądź aż pod szopą, bądź w drugiej izbie.

— Zwyczajnie dziewczyna!...—odpowiadała mu żona — musi się wyśpiewać... Potem nie będzie czasu...

— A niech śpiewa!...—odpierał Sawa—alboż ja mówię, żeby nie śpiewała!... — i uśmiechał się stary, bo mu śpiewanie Marijki nawiewało jakąś taką rzeczność do serca, że radby ją był dzień i noc słyhać, i jeżeli to wypadało po obiedzie, to kładł się w drugiej izbie na łóżku, na wznak, podkładał dlonie pod głowę, słyhał, słyhał, uśmiechał się, znów słyhał—i usypiał.

Marijka szyła rozmaite rzeczy, a haftowała kapy na łóżka i poszewki na poduszki. Matka nie powiadała jej tego, ale to była jej własna wyprawa, którą sama sobie, p woli i nie wiedząc o tem, przygotowywała. Gdy zaś jej się igła znudzila, to miała inne jeszcze zajęcie. Przed tem jedynem w domu oknem, które wychodziło na ogród, było kilka grządek kwiatów i kilka krzaków róż. Jeden z krzaków rósł pod samem oknem i był największy, i kiedy okrywał się kwieciem, róże zaglądały do izby. Marijka szczególnie się o to starała, aby jak najwięcej kwiatów ku oknu nachylić, i tak wyginała i układała pręciki i gałązki, że zasłoniły okno prawie do połowy. Gdy róże kwitły, największą jej uciechą było wyglądać do nich przez okno i uśmiechać się do pączków i mówić do nich lub pukać w szyby, jakby

one rozumieć ją mogły. Toż знаła się ona z każdym pączkiem i pilnowała, aby kto ich nie obrywał na tym jej faworytalnym krzaku, chociaż i inne krzaki, niemniej jak grządki, doświadczały jej pieczołowitości. Z grządkami, wyjawszy zimy, przez cały rok miała do czynienia: to siała, to peła, to podlewała, to zbierała nasiona, lub przesadzała flance, a sama kopała i uprawiała ziemię, i tej ciężkiej roboty już jej matka nie bronila. A do tych wszystkich pół-zajęć i pół-zabawek, dodawszy odwiedziny rowieśnic i u rowieśnic, szepty i sekreta nieprzebrane, których dziewczęta mają tak dużo i tak ważnych, to nietylko Marijka nie próżnowała, ale jej nieraz brakło czasu. Nieraz, zrana jeszcze, śpieszyć się musiała z ubraniem, bo coś tam na nią czekało, bo gdzieś tam było jej pilno.

Wspomniawszy o ubraniu, dodać muszę, że pod tym względem nie brakowało jej na niczem. Rodzice kochali ją i pieścili i dogadzali jej we wszystkim. Zdawałoby się, że takie pieśczoty i dogadzania powinny ją były zepsuć, ale—nie. Obdarzoną ona była taką dobrą jakąś naturą, że im z nią łagodniej i lepiej się obchodzono, tem ona była silniejszą i to obchodzenie się odplacała miłością. Nigdy nie napała się niczego, nigdy nie zadąsała, z nikim w domu się nie posprzeczała. Patrząc na nią z boku, wydawała się być najdokładniejszym obrazem prawdziwego dziecięcego szczęścia, któremu chwile upływają bez najmniejszej chmurki trosk lub smutków. I szczęście to przyjmowała Marijka myślą pogodną i czystem, niepokalanem sercem, nie przekraczającym ani na odrobinę po za granicę życzeń rodzicielskich. Chociaż

była w szkole, w której uczyła się po niemiecku, chociaż znała się ze wszystkimi miejskimi dziewczętami, od których o dziwnych dziwach dowiadywała się, chociaż widywała panie i panów, i od tych ostatnich nieraz bardzo pochlebny komplement usłyszała, zawsze ojciec był dla niej istotą najszanowniejszą, a matka wzorem, na który się zapatrywała i do którego ściśle zastosować się po wyjściu za Szandora zamyślała.

Kochali Marijkę ojciec i matka, ale niemniej kochał ją i brat (o Szandorze nie mówię, bo to rzecz wiadoma, że kochanek najlepiej kocha). Łuka nigdzie nie pojechał, żeby powróciwszy, nie przywiózł jej gościńca. A jeździł on często, bo Sawie dawano roboty dużo, więc miał on i dużo w okolicy interesów, któremi zawiadywał wyłącznie Łuka, tak, że na jego głowie spoczywała cała pomyślność Simiczowej rodziny. Ale jak Marijka była dobrą córką, tak on był dobrym synem, i będąc sam majstrem skończonym, robił wszystko w imieniu ojca, najcierpliwiej znosił jego uniesienia i najskrupulatniej prowadził interesu, które coraz wzmagaly się i coraz bardziej kwitły za jego staraniem. Już jak Łuka oddał komu *koczi*, to z pewnością nie było mu nic do zarzucenia; a chociaż to Łuka sam i umawiał się i zrobił i oddał, każdy jednakże powiadał:

— To od Sawy Simicza *koczi*.

I każdy Sawę chwalił, Sawie dziękował, Sawie ostatecznie dostawały się pieniądze; a stary tyle tylko czasem zrobił, że wykpał Łukę pod szopą.

I w całej rodzinie jednemu tylko Łuce, i to niesprawiedliwie, zdarzyło się być połajany przez oj-

ca, bo co się tyczy Janka, to ten, raz, że rzadko kiedy bywał w domu, a powtóre, gdy przyjechał, doświadczał szacunku, jaki człowiekowi pióra się należy. Chociaż bowiem i Sawa i Anna i Łuka i Maryjka umieli czytać i pisać, nie byli jednak bardzo piśmienni; dla Janka zaś pióro było rzemiosłem. Sawa wprawdzie miał w pewnym, acz lekkim podejzeniu wszystkich piśmiennych w ogólności; miał ich za próżniaków.

— Co to mi za praca — mówił — piórkiem smarować!.. Ciekawym, jakby ten, co piórkiem się bawi, poradził sobie z siekierą!..

Podejrzeń to jednakże upadło wobec syna rodzonego, który od dzieciństwa, jak go oddali do szkółki w Szegiedynie, do pióra okazał wielki pociąg, a do siekiery pomimo, że Sawa obydwóch synów chciał wykierować na stelmachów, a w najgorszym razie z jednego zrobić stelmacha, a z drugiego kowala — najmniejszego. Sawa przeto w ten sposób ten wstręt Janka do siekiery i kowadła sobie wytlómaczył:

— Widać, że Pan Bóg jednego do tego, a drugiego do owego przeznacza.

Wejście Janka do audytoryatu pulkowego dało staremu wielkie o jego rozumie wyobrażenie, a Jankowi nadało ten charakter pedantyzmu, którym tchnęło zawsze, tak dobrze dziś, jak wówczas, wszystko, co w Austrii, w sferze urzędowej, ma z piórem do czynienia. Wygląda to jak powaga, jak jakieś zamknięcie się w sobie, będąc najzwyczajnie osłoną zupełnych pustek w głowie i sercu. Z Jankiem jednakże inaczej rzecz się miała. On nie poprzestawał na samem

kopiewaniu raportów, sprawozdań, wyciągów i rejestrów w kancelaryi. Po skończeniu szkółki wszedł do kancelaryi audytoryatu dlatego tylko, że to była jedyna w tym rodzaju karyera, która się przed nim przypadkiem otworzyła. Nie miał wyboru i nie umiałby wybrać; więc zasiadł za stołem i kopiował, a w chwilach swobodnych uczył się, czytał, wszystkiego i wszystko, co mu jeno pod rękę nawijało się. Tym sposobem, umiejac już po niemiecku, po węgiersku i po serbsku, nauczył się jeszcze i po włosku, i przeczytał wszystkie *gesetzbuchy*, jakie znalazł w kancelaryjnym archiwum, a oprócz nich i rozmaite rozmaitej treści książki, jakie z miasta do rąk jego zabłądziły. Tym sposobem zgromadziła się w głowie Janka pewna doza wiadomości, które on sam uporządkował, jak mu się zdawało, najlepiej; ale gdy to uczynił, kancelarya wydawała mu się tak ciasną a tak poziomą, że poczuł się w niej upokorzonym wobec tego, co nazywa się godnością ludzką. Książki pokazały mu świat inny, szerszy, w którym człowiek-jednostka znaczyć coś może sam przez siebie, jako czynnik, nie tylko jako machinka, stawiająca na papierze litery po literach i cyfry pod cyframi. I nastroiwszy tak duszę, nie mógł Janko dać sobie w kancelaryi rady, a przytem nie mógł powiedzieć o tem nikomu, ani poradzić się nikogo, bo nawet sam nie wiedział, coby miał mówić lub o co się radzić. Dusza jego napelniona była czemś nieokreślonym, co aż przelewało się z niej, i Janko te przelewy zbierał starannie, znaczył wyrazami, które szykowały się jak pieśni—do harmonii i rymu—i bardzo drobnym charakterem, na malutkich okrawkach

papieru, spisywał je sobie, a po spisaniu nie chował, ani też pokazywał komu, ale skubał na drobne kawałeczki i wyrzucał za okno kancelaryjne. Powiedzieć potrzeba, że spisywania te tajemnych myśli Janka odbywały się w języku serbskim, pomimo, że urzędowym dla niego językiem był niemiecki. I tak jak te dwa języki — urzędowy i nieurzędowy — tak też wyrobiły się w nim dwie natury: jedna powierzchowna, sztywna, druga wewnętrzna, tajemna. Sądząc o nim po pierwszej, zdawało się, że jest on człowiekiem z formy tylko, a w rzeczywistości nie jest i nie może być czem innem, jeno kopistą papierów audytoryackich; ale zajrzawszy do drugiej, widziało się, że Janko coś kocha, czegoś nienawidzi, do czegoś się rwie, „dusza jego—jak powiada poeta—skacze jak ptak do słońca“; lecz nie możnaby odgadnąć, gdzie jest to słońce Jankowe.

Takiem swoim usposobieniem wywierał Janko wpływ ogromny i stanowczy na rodzinę swoją. Wpływ ten jednakże w zwykłym trybie rzeczy nie okazywał się na niczem. Jako nic nie zmieniał, ani przerabiał w domu wszystko szło swoim порядkiem bez niego i przy nim; ale domownicy mieli wiarę w jego rozum i to przekonanie, że co Janko powie, to musi być ważną prawdą, a z tego przekonania wypływało inne, że gdyby czego zażądał, to trzeba-by uczynić zadość żądaniu jego. Janko nie nadużywał jednakże tej swojej powagi, i jakby nie domyślał się jej nawet; nie żądał niczego takiego, coby w czemkolwiek naruszać mogło spokój lub przyzwyczajenia jego rodziny. Podczas ostatnich jego odwiedzin Sawa zamówił sobie, że chce, aby był na

weselu Marijki. Janko okazał gotowość przyjechać pod warunkiem, jeżeli potrafi otrzymać urlop od przełożonych swoich. Ostatnie te odwiedziny miały miejsce na parę tygodni przed przybyciem Szandora i nie było nadziei prędzej, niż za rok, otrzymać urlopu. Odłożenie przeto przez Sawę wesela, oprócz innych powodów, miało jeszcze i ten, aby na godach, których sama myśl radość mu sprawiała, radością tą podzielić się ze wszystkimi dziećmi swojemi.

## III.

Przegląd rodziny Simicza w chwili, w której rozpoczyna się nasza powieść, nie jest dostatecznym do wykazania zamierzonego przyjęcia na jej łono Szandora—przyjęcia, którego wszyscy pożąдали, którem się wszyscy zawczasu cieszyli, i któremu, jak widzieliśmy, żadna nie zagrażała przeszkoda. Dla zrozumienia tego, musimy cofnąć się o kilkadziesiąt lat w tył, aż do czasów młodości Sawy.

Młodość swoją spędził Sawa w huzarach, w czasach, kiedy Austria pasowała się z geniuszem Napoleona I-go. Odbił on wiele wojen, pozostając ciągle w jednym i tymże samym pułku, w jednym szwadronie i w jednym plutonie, zrobiwszy jeden tylko awans pod koniec kariery swojej wojskowej—z szeregowca na gefrejtera. Dlatego to miał on taką słabość do malowanych bitew huzarskich i niemi wyłącznie ozdabiał ściany swego mieszkania. Każdy podpis wywoływał w nim jakieś wspomnienia—podpis, bo nie obrazek, na obrazki bowiem zawsze stary się gniewał. Figurki huzarów, ze wzrzesionymi do góry szablami, jak tylko je zjrzał, bądź w sklepie jakim, bądź u podróżującego kupca obrazków,

rozradowywały go niezmiernie i natychmiast je kupował, lecz rozpatrzywszy się w nich dobrze, powiadał:

— To nieprawda!... to nie tak było... to malował ktoś taki, co tam nie był...

A gdy mu robiono uwagę, że malarz przedstawił może takie starcie, w którym nie było Sawy:

— To być nie może!...—wołał—ja byłem wszędzie!—i kłął.

— Ależ, Sawo-*baraton!*... przypomnijże sobie, ile to tam było pułków, a ile szwadronów!... ty w jednym tylko mogłeś być szwadronie i ani wiesz, ani widziałeś, co inne robiły...

Uwaga podobna zastanawiała zwykle Sawę — zamyślał się i odpowiadał, cedząc powoli wyrazy:

— A... prawda... było tego dużo.. pamiętam... a tak... byli tam Kaiser-huzary.. hm... i... i... Blankenstein-huzary... i... Stipsicz-huzary... te same, które dawniej nazywały się Messarosch-huzary... O! pamiętam dobrze... tak.. tak...

I przypatrywał się stary obrazkowi i niechże znalazł na nim wymalowanych nie tych, których wyliczył—a pamiętał i umiał rozpoznać ich po mundurach—wówczas gniewał się na seryo, narzekał, że wyrzucił pieniądze jak w błoto i zabierał się do podarcia obrazka na drobne kawałki, ale od uczynienia tego wstrzymała go zwykle interwencja żony lub córki.

— A!...—wołał—żebym też to ja gdzie spotkał tego, co maluje! tobym ja mu odmalował!... A jeszcze i podpisuje!... to jużby wołał nie podpisywać!... niechby się ludzie sami domyślali!...

Wielkim był nasz Sawa obrońcą prawdy historycznej w sztuce, chociaż ani wiedział, czego broni. Nieprawda pod tym wzg'ędem wydawała się mu pewnym rodzajem grzechu, ułżeniem osobistej godności, dlatego, że czasy i okoliczności, do których się ona odnosiła, były dla niego drogie. On wcielił się w nie pamięcią, przenoślił się w nie całą myślą, ile razy potrafił o nie wspomnieniem, i kochał je.

Dziwnem było to kochanie Sawy. Co on właściwie kochał?... Gdybyśmy zapytanie to rzucili w Austrii, w sferze oficjalnej, to na nie odrzuconoby nam odpowiedź, opartą na wyrazach: sztandar, ojczyzna, honor narodowy, uczucie obowiązku i t. d., dowiedzionoby nam, jasno jak na dłoni, że Sawa Simicz był wiernym poddanym Austrii. Jako żywo!... sztandar, honor i t. d., ani go obchodziły... On kochał huzarów... Huzary były jego ojczyzną...

Dla objaśnienia tego muszę na chwilę zawiesić ton powieściopisarski, a wejrzeć w państwowy mechanizm Austrii. A muszę to uczynić, gdyż bez objaśnienia, albo raczej bez wytłómaczenia się, niejednemu z czytelników mogłoby wydać się, że myślił huzarską ojczyznę.

Proszę rozłożyć przed sobą mapę ówczesnej tak dobrze jak teraźniejszej Austrii i przypatrując się jej, obliczać na palcach wszystkie weszłe w skład państwa tego narodowości. Obliczający wyekspensuje wszystkie palce na obydwóch rękach i dla skończenia rachunku będzie musiał powtórna kolej rozpocząć, a jeżeli jest bardzo skrupulatnym i zechce za jednostki brać podrzędniejsze odcienia, to jeszcze i po raz trzeci potrzeba palce fatygować. Znajdują się

tam i całe narody i skrawki ościennych narodów i zablędy dalszych. Wszystko to, rozpatrywane, że się tak wyrażę, na gruncie, nie przystaje jedno do drugiego, nie trzyma się, a nawet nie może trzymać się kupy, dlatego, że pomiędzy niemi nie ma tego powinowactwa części, koniecznego dla utworzenia całości.

Niejednakowość języka, niejednakowość religii, ani jednakowość zwyczajów stanowią warunki jedności narodowej, lecz jedność pewnego wspólnego wszystkim interesu, wyrażającego się dążeniem do wspólnego celu, widnego wszystkim, zarówno żywego dla wszystkich i sprawiającego, że każda jednostka, urzędowa, czy nieurzędowa, wielka, czy mała, bliska, czy oddalona, jest niejako satelitą wspólnego słońca, do którego ciąży i około którego krąży. A słońce to nie jest bynajmniej tem, co Ludwik XIV powiedział: „*la France, c'est moi*“. Gdyby trzęsienie ziemi zawałiło w jednej chwili Paryż i pochłonęło raptem całą centralizację władzy, to przeciw Alzacyki i Gaskończyki i Bretończyki, różni pomiędzy sobą językiem i zwyczajami i religią, zbiegliby się i postawiliby sobie nowy Paryż. To samo, w takim samym przypadku, stałoby się z Londynem i Anglią. Szwajcaryja nie posiada Paryża, ni Londynu, mówi trzema językami, wyznaje kilka religij, a pomimo to ma wspólne słońce. Tem słońcem jest ojczyzna, łącząca w jedno Alzacyka, Gaskona, Bretona, Anglika, Szkota i Wallijczyka, St. Galleńskiego Niemca, Luzernskiego Włocha i Genewskiego Francuza i wzbraniająca im odrywać się od całości, mieć coś odrębnego na celu, dążyć w inną stronę, nie

w tę, w którą całość dąży. Tego w Austrii nie ma. Tam, wzięwszy składowe jej części, każda z osobna, każda dąży do wyodrębnienia się. Wspólności pomiędzy nimi takiej, któraby obeszła się bez Wiednia, śladu wyszukać nie można. Tu przeciwnie, każdy w swoją stronę, Słowianin w swoją, Węgier w swoją i t. d., i gdyby dobrej a nieprzymuszonej ich woli pozostawić porozumienie się pomiędzy sobą, to z pewnością z tego porozumienia się nie wypłynąłby skutek taki, jak z porozumienia Bretończyka z Alzaczycykiem lub Walińczyka i Szkota z Anglikiem. Fakt jednakże istnieje wyraźny, dotykalny; składowe części trzymają się w kupie i zlewają się w ogromną całość.

Nie będę wdawał się w historyczny wywód utworzenia się austriackiego państwa. Rozmaite powody wyraziły się jednym skutkiem: Austrya stanęła i stoi — i stoi, pomimo różnorodności i różnorodności składowych swoich części, i pomimo wyraźnej nieżyczliwości, jaką w nich wzbudza ku sobie. Ową całość i jedność naturalną, opatrnościową gdzieindziej, potrafi ona zastąpić sztucznym mechanizmem, podobnym do siatki, którabyś nakrył razem np. zórawie, przepiórki, kaczkę, wrony i kuropatwy, połapanie poprzednio: — chciałyby one rozlecieć się, ale im wspólna siatka nie pozwala. Wspólna ta siatka nie jest celem dla tych, co pod nią się znajdują, ale dla tych tylko, co ją rozciągają i trzymają, bo ci tylko mają wspólny cel i wspólną dążność pomiędzy sobą. To tak dalece jest prawdziwem, że ztąd utworzyła się odrębna (jeżeli tak godzi się powiedzieć) narodowość urzędowa, odmienna od każdej z osobna

krajowej i w odniesieniu do wszystkich razem grająca taką rolę, jaką gra cement w mozaice, z kamyków układanej. Cement nie jest takim samym jak kamyki materiałem, ale bez niego kamyki nie składałyby mozaiki; cement jest preparatem sztucznym, który musi być dobrym, jeżeli chcemy, aby odpowiadał swemu celowi. Owóż ów cement austriacki jest doskonałym w swoim rodzaju.

Urzędowość owa, zaprowadzona i rozwijana od bardzo dawna, mająca ten siatkowo-cementowy charakter, wydzieliła się zupełnie z narodów. Jej sfera jest ogarniająca, ale odrębną. Przyjęła ona i wyróżniające ją cechy, jak np. język niemiecki, który w dziewięciu dziesiątych częściach ogólnej ludności państwa, nie jest językiem krajowym. Dla wcielenia się w tę sferę, potrzeba przejść przez pewny nowicyat, przez pewną przygotowaną zawczasu szkołę, w którejby Niemiec, Włoch, Wołoch, Czech i t. d., przerobić się mógł na urzędnika. A raz w nią wcieliwszy się, przestaje on być Niemcem, Włochem, Czechem, wchodzi w świat zupełnie odmienny, staje się członkiem ciała bardzo porządnie i dokładnie uorganizowanego, zostaje sprężynką mechanizmu i jak sprężynka funkcjonuje. Nie będę wyliczał składowych części tego mechanizmu, nie będę rozpatrywał sprężynki po sprężynce — zaprowadziłoby to mnie za daleko; powiem więc tylko, odnosząc się do wyżej przytoczonych przyrównań, że jak w każdej siatce, tak i tu są nici, oczka i węzłki, jak w każdym cemencie, tak i tu jest glina, piasek, gips i t. p., — jak — nareszcie — w każdym mechanizmie, tak i w austriackim, są główniejsze i podrzędniejsze części, więk-

sze i mniejsze koła, sprężyny, bloki, zęby, dzwignie i t. d. To samo widzieć się daje gdzieindziej, z tą wszakże ważną różnicą, że gdzieindziej trzyma się ono gruntu narodowego, a tu trzyma grunt narodowy.

Takie wyodrębnienie się urzędu w narodzie nazywa się powszechnie biurokracją, którą — w ogólnem o niej pojęciu — odnoszą zwykle do administracji, sądownictwa, policji i t. d. Tu jednak dla zrobienia sobie dokładnego o charakterze mechanizmu rządowego wyobrażenia, potrzeba jej sferę, wkluczając w nią i szablokrację, rozszerzyć.

Jest pomiędzy niemi bardzo blizkie, siostrzane i to nie cioteczne, ale rodzone powinowactwo. Jedna i druga przerabia człowieka na sztywnego, wyprostowanego i pełnego arogancji draęala, tak w moralnym, jak w fizycznym sensie, co wpajane systematycznie, za pomocą wydoskonalonych foremek, gdy raz przyłgnie do człowieka, to już go nie opuszcza do śmierci i da się rozpoznać odrazu. Całą postać ludzką owiewa z góry do dołu jakiś dziwnie nienaturalny ton.

W wojsku, w sferze oficerskiej, foremką na draęalstwo jest to, co nazywa się: „*esprit du corps*“.. W każdej armii jest ten *esprit*, ale w żadnej nie jest do takiego rozwinięty stopnia, jak w austriackiej. Honorowość, będąca naturalnym a koniecznym onego wynikiem, staje się tam honoromanią, pewnym rodzajem wściekłej honorowej. Jak opowiadają, że pewien waryat nosił się ostrożnie ze szklanym bruchem, tak austriacki oficer nosi się ze swoim honorem: — ostrożnie z nim, bo wyzwie na pojedynek,

a wyzwie o byle co, chociaż nie byle kogo, i każda bronią będzie się oii; bo żyjąc nieustannie w ekspektatywie doświadczenia obrazy na honorze, ciąglem a głównem zajęciem jego jest strzelanie z pistoletu do celu i ćwiczenie ręki w pełnięciach, cięciach i fin-tach. Skutkiem tej honoromanii siebie i ciało, do którego należy, uważa on jako pewien rodzaj „ludu wybranego“ i poczuwa się do obowiązku wszędzie i zawsze odpowiadać za siebie i za ciało; a że to ciało jest złożonem; że nazywając się armią w ogólności, dzieli się na części — na dywizye, brygady i pułki, przeto i solidarność, odnoszona przezeń na zewnątrz do całej armii, wewnątrz tej armii odnosi się naprzód do dywizji, potem do brygady, a następnie do pułku, w którym służy. Ta ostatnia jest najsilniejszą. Jak wobec każdego człowieka broni oficer austriacki swego osobistego honoru, tak wobec każdego, do innego należącego pułku, broni on honoru swego pułku. Wejście np obcego doń żywiołu uważa jako dotkliwą obrazę; — każdy, nawet najlepszy oficer, przenoszący się z innego pułku, musi zawsze odbyć kilka, a czasem kilkanaście pojedynków i zdobyć sobie przez nie prawo obywatelstwa.

To skupienie się wojskowych w ciało odrębne, w rodzaj zakonu krzyżackiego lub kawalerów mieczowych, wyrobiło pomiędzy nimi i pewne odrębne zwyczaje, podobne do tych, jakie wyrobiły się w cechach rzemieślniczych. I oni mają *bruderschafty*, których cechą zewnętrzną jest tak zwane technicznie *per du*. *Per du* oznacza prawo mówienia „ty“. Podporucznicy obydwóch klas, porucznicy i kapitanowie — jakby należeli do jednego cechu — są *per du*



i wiąże ich wzajemny *bruderschaft*. To samo, tylko nieco zmodyfikowane, obowiązuje następną kategorię sztabowych oficerów i t. d. Są to koła i kółka mechaniczne, zastępujące naturalne powinowactwo ludzi, mających wspólną ojczyznę. W nich wyrabia się też i odpowiedni im patryotyzm, podgatunkowujący się i rozpadający na bronie i pułki.

To wszystko, co powiedziałem o oficerze, odnosi się i do szeregowców, z tą jedynie różnicą, że dla tych ostatnich nie wychodzi ze sfery broni i mundura. Huzar np. jest huzarem i niczem więcej — kirasyerem i dragonem pogardza, a piechura ma za nic. A przytem on ani przypuszcza, aby ludzkość bez huzarów egzystować mogła.

Nie dziw przeto, że huzary były ojczyzną Sawy.

Przed zwerbowaniem się do wojska miał on inną ojczyznę. Z brzmienia imienia i nazwiska jego „*Sawa Simicz*“—albo raczej „*Simifin*“<sup>1)</sup>, i brzmienia imion synów „*Janko* i *Luka*“ z łatwością domyśli się czytelnik, że nie byli oni Madiarami. Sawa był Serbem z Banatu. Pochodził on od tych Serbów, którzy wyemigrowali z Serbii tureckiej, chroniąc się do Węgier przed prześladowaniem Ottomanów. Nazywają ich w Węgrzech *Racami* (Rac). Wynieśli oni z sobą niechęć do Madiarów, niechęć tradycyjną, sięgającą jeszcze tych czasów, kiedy szczep madiarski podbijał słowiańskie plemiona. Wyrodzona wówczas nienawiść, bardzo naturalna i wła-

<sup>1)</sup> *t*, które naznaczyłem kreską, trzeba tak wymówić, ażeby brzmiało jak *t* i *cz*.

ściwa w broniących się, złagodziła się nieco, ale przechowała się, jako niechęć, przez wieki, spadając dziedzicznie z pokolenia na pokolenie i wybuchając od czasu do czasu przy zdarzonych okolicznościach, albo też zacierając się niekiedy tak, że zdaje się, iż ślad onej ginął. Niechęć ta jest jedną z cech narodowych Słowian węgierskich, szczególnie—poddunajskich.

Zatarła się ona jednakże w Sawie zupełnie, gdy pobyl przez parę lat w huzarach, w tem czysto narodowym węgierskiem wojsku, i gdy nadto przeszedł austryacką szkołę. Serbskość pozostała mu tylko w rysach oblicza, w pewnej powadze i powolności charakteru, ale z duszy i serca znikła zupełnie. W huzarach jest zazwyczaj najwięcej madiarów i oni rej wodzą, oni ton nadają. Przygnał Sawa do madiarów, zbratał się z nimi i zapomniał, że kiedyś tam jakieś uczucie szeptało mu: „ty nie jesteś madiarem“. On bo nawet nie miał potrzeby przyznawać się do madiarstwa—nikt po nim tego nie wymagał,—on był huzarem.

Później będę miał sposobność więcej nieco o huzarach mówić, a teraz poprzestanę na tem tylko, że powiem, że jak narody mają swoje tradycje i zwyczaje, tak podobnie tradycje i zwyczaje wyrobiły się pomiędzy huzarami. Wiedzą oni, co się w ich pułkach przed wiekami działo, nawet w owym czasie, kiedy Pan Bóg tylko co świat stworzył; — o! bo w ich przekonaniu, już wtenczas były huzary, kiedy Adama i Ewę z raju wygnano. Ten archanioł, co z mieczem ognistym postawionym był u wrót raju,

służył w huzarach i został poprostu wykomenderowanym, jak sztydłwach. A ze zwyczajów, wspomnę o jednym, który potrzebnym jest jako przyczyna wyjaśniająca skutki, mające wystąpić w rozwoju opowiadania naszego. Huzary podczas wojny mają zwyczaj stowarzyszać się po kilku w kółka wzajemnej pomocy. Stowarzyszeni poprzysięgają sobie, że wszyscy stać będą za jednego, a jeden za wszystkich, że nie odstąpią, ani dadzą się rozerwać w boju, że będą dzielić się zdobyczą i t. d. Łatwo zrozumieć, jaka to przyjaźń wiązuje się pomiędzy członkami takich stowarzyszeń... Formują się grona prawdziwie pokrewnych sobie ludzi, bo takich, których krew mieszała się nieraz na polu bitew; takich, z których każdy prawie, jeden drugiego uratował od śmierci. Kochają się w tych gronach jak bracia i tak, że jeden za drugiego gotówby w piekło skoczyć, i nie przyjmują nowych, ale po każdej bitwie obliczają się, i nie doliczywszy się którego, coraz potężniej ściskają węzły braterstwa. Jeżeli ich było np. sześciu (zwykła liczba), tyle tylko powiedzą:

— No, już nas tylko pięciu!...

Potem schodzi na czterech, potem — na trzech, potem na dwóch, w końcu — jeżeli zejdzie tylko na jednego, to już ten jeden nie wytrzyma bez towarzyszy: nastawia się w bitwach, szukając śmierci i rzadko kiedy nie znajdzie jej. A jeżeli dwóch pozostanie i ci dwaj wyjdą cali z wojen, to przypatrując się im z boku, niktby nie powiedział, że oni nie są rodzonymi braćmi.

W tym ostatnim przypadku był Sawa. Było ich sześciu stowarzyszonych na śmierć i życie — czte-

rech madiarów, jeden Słowak i jeden Rac-Sawa; — czterech im odpadło — pozostał przy życiu Sawa i jeden z madiarów. I we dwóch trzymali się do końca i razem awansowano ich na gefrejterów i razem — po wysłużeniu kapitulacji — wystąpili oni z wojska, razem przybyli do Szegiedynu, jednocześnie prawie poženili się i ani na chwilę nie przestali kochać się i pomagać sobie wzajemnie. A pomoc ta wzajemna i jednemu i drugiemu bardzo była na rękę, bo Madiar był kowalem, więc jego rzemiosło przystawało do rzemiosła Sawy.

Madiar kowal, zwany *Kowacz* od rzemiosła (*ko-wal* po węgiersku *kowacz*), był człowiekiem trochę popędliwym — jak każdy Madiar, woskował sobie wąsy i ostro stawiał się każdemu, ale pomimo całej zamaszystości miny, twarz jego była blada, jakby zmęczona, oczy nienaturalnym świeciły blaskiem, a z piersi często gęsto wydobywał się suchy kaszel. Piers jego bowiem przebitą była lanca.

— Gdyby nie Sawa — rozповідаł Kowacz — to byłbym się nie wykręcił... Już nas wówczas tylko dwóch się zostało... Najechałże na mnie ten ulan — tu Kowacz kłął, a Sawa, jeżeli był obecnym rozpowiadaniu, pomagał mu — najechał na mnie i prosto lancą w piersi! — tu znów kłął. — Ja nie miałem czasu odbijać lancy pałaszem i tylko przy samych piersiach schwyciłem ręką za grot; a gdy mnie pchnął pierwszy raz, uchwyciłem grot jeszcze i drugą ręką, i szabla obwisła mi na temblaku, i tak stanęliśmy jeden naprzeciw drugiego: ulan szarpie i chce mnie przebić, a ja trzymam i nie puszczam... Ale nie utrzymałbym był już długo, bo już poczułem słabnąć,

gdyby nie Sawa, który podsunął się, chlasnął ułana przez pysk, i zamiast tego, że ja miałem się wywrócić, to ułan się wywrócił... Czy nie tak, Sawo-  
*baraton?*

— A, tak!...—odpowiadał Sawa, chrząkał, kręcił wąs, kłął i rozповідаł jakieś zdarzenie, które jemu samemu, albo Kowaczowi, albo któremu ze czterech odpadłych przytrafiło się.

A gdy skończył Sawa, rozpoczynał Kowacz.

Po Kowaczu znów Sawa zabierał głos.

I tak szło *alternative* czasem bardzo długo, a kończyło się zwykle zwrotem ku polityce.

— Ej! — powiadał Kowacz, biorąc się w boki i kiwając zlekka głową — żeby nie huzary, to coby było?... he!... powiedz-no Sawo...

— Żeby nie huzary! — powtarzał Sawa — no!... tożby to było!...

— Toż te Austryaki — (wyrażenie Austryaki oznaczało wyższe sfery narodowe, jako też i generalitety), mówił Kowacz—potraciły głowy ze wszystkim—tylko huzary nie potraciły...

— O! co prawda, to prawda... tylko jedne huzary—powtarzał Sawa.

Kowacz potwierdzał poważnie.

Jeżeli zaś ktoś, słuchając z boku, wtrącił niedyskretnie:

— Ależ przecie i huzary uciekały.

W takim razie Kowacz chmurzył się, stawał się groźnie z miną prawie wyzywającą i wołał dobitnie:

— To jest nieprawda!... Huzary nigdzie nie uciekały!... Sawa także chmurzył się i także wołał:

— To jest nieprawda!... Huzary nigdzie nie uciekały!...

Potem któryś z nich dowodził, że uciekali dragoni, kirysyery, ułani, uciekali *bagańczarze* (piechota); ale huzary, nigdy i nigdzie...

— Gdybyśmy chcieli — mówił np. Sawa — to byśmy samego Napoleona dostali w nasze ręce... Napoleona wszyscy się bali, tylko — dodawał, podnosząc rękę i kiwając palcem... — nie huzary!... O!... co nie, to nie!...

— Nie baliśmy się go ani tyle!... — potwierdzał Kowacz, pokazując miarę bojażni na paznociu.

A jeżeli zapytał kto:

— Czemużeście go nie wzięli?

— Ba!... — odpowiedział któryś z nich — alboż co nam był Napoleon winien?!...

Zawsze jednakże, według ich mniemania, za owych czasów wszystko było lepiej; dziś zaś wszystko kłoniło się ku upadkowi, a miarą tego upadku były zawsze huzary, chociaż nie mieli najmniejszej racyi, gdyż, jak wiadomo, kawalerya austryacka, pod względem urządzenia i wyrobienia, była zawsze wzorową. Ale taki to jest w ogólności defekt starości, zdaje się jej, że to tylko jest dobrem, co młodość otaczało, lub w czem ona w młodych latach udział brała. Szczególnie gniewał przyjaciół naszych długo trwający pokój; chociaż i w tem nie mieli racyi—bo pokój sprowadzał na nich dostatek, w pokoju rozwinęły się i zakwitły ich rzemiosła.

Kowacz miał swoją kuźnię i swój dom w mieście. Do kuźni i domu przyszedł on przez ożenienie. Przybywszy do Szegiedynu nie posiadał nic,

tylko z przedwojskowych jeszcze czasów zapamiętane trochę rzemiosło — umiał obchodzić się młotkiem, wiedział jak grzać żelazo i z tem stanął do roboty u kowala, douczył się czego mu niedostawało, pilnością i uczciwością pozyskał zaufanie majstra, który mu najprzód powierzył kuźnię, potem dał mu jedynaczkę córkę za żonę, naostatek umarł i zostawił dom i zapas pieniędzy i warsztat w dobrym stanie. Kowacz po śmierci teścia ujrzał się jednym z zamożniejszych obywateli.

Lecz zamożność nie uszczęśliwiła go. Nic mu niby nie brakło, a zawsze czegoś niedostawało. Po ożenieniu przez kilka lat nie mógł doczekać się potomka. Sawa miał już dwóch synów, a Kowaczowi Pan Bóg ani syna, ani córki nie dawał.

— Sawo-*baraton!*... — mówił Kowacz — chyba ja jednego z twoich synów wezmę za swego.

— E!... — odpowiedział Sawa — toż nie bez tego, żebyś i ty nie doczekał się syna.

— Ot, wiesz co, *baraton*, nie proszę Pana Boga o syna... Niechby mi dał dziewczynę, tobym ją wydał za Janka albo za Łukę; toby zawsze jeden z twoich chłopców został moim.

— *Igen* (tak jest), *baraton*... *igen* — odpowiadał Sawa poważnie i kręcił wąż, a w duchu myślał sobie: „podobno daremnie prosisz ty Pana Boga!...“ ale nie mówił tego przyjacielowi,

Razu pewnego Sawa jeszcze spał, a spał tym snem przedświtowym, spokojnym, głębokim, z którego obudzenie się jest takim trudnem, gdy usłyszał gwałtowne stukanie do drzwi swego domu. Zdawało

mu się zrazu że to sen, ale powtórzone stukanie rozbudziło go i zmusiło zawołać:

— Kto tam?... .

— Ja!... — była odpowiedź — odmykaj!...

Sawa poznał Kowacza po głosie, wstał i odemknął mu.

— Ależ ty śpisz długo!... — rzekł Kowacz.

Sawa chciał mu wytłómaczyć, że nikt o tej porze nie wstaje, że jeszcze ciemno, lecz Kowacz nie dał mu ust nawet otworzyć.

— Ty śpisz, *baraton*, i nie wiesz o niczem..

— O czym? — zapytał Sawa zdumiony.

— O czym? odparł Kowacz, hamując wybuch radości — o czym?... — powtórzył — oto doczekałem się nakoniec... będę miał!... będę!...

— Co będziesz miał? — pytał Sawa ze wzrastającym zdziwieniem, widząc, że przyjacielowi jakaś wielka radość odbiera mowę.

— Alboż ja wiem co!... — odrzekł Kowacz i zakaształ się — może syna!... może córkę!...

— Nie może być!... — zawołał Sawa mimowolnie.

— Jakto: nie może być!... — krzyknął Kowacz — musi być!... już niema żadnej wątpliwości!...

— To dobrze!... to dobrze!... — powtarzał Sawa, przejmując się radością przyjaciela.

I nastąpiła chwila milczenia, w której Kowacz uspokoił się, a uspokoiwszy się, rzekł, wyciągając rękę.

— Daj, Sawo, rękę!... moja córka jest narzeczona twego syna.

— A jeżeli ci Pan Bóg da syna?...

— To co innego!... — odparł Kowacz — to syn

mój będzie takim bratem twoich, jakim ty jesteś dla mnie.

— *Igen!... igen.. baraton!...* — zawołał Sawa w uniesieniu i uściskał przyjaciela.

Urodzin potomka wyglądał Kowacz z gorączkowym oczekiwaniem, nudząc się bez niego i gniewając, że tak długo na świat nie przychodzi. A gdy przyszedł nareszcie dzień urodzin, Kowacza przejęło jakieś drżenie radości i niepokoju i zaopatrzył swoją żonę zawczasu nie tylko we wszelką potrzebną pomoc, ale prosił Simiczową, aby jej na krok nie odstępowała — zawołał Simicza i z nim razem czekał w drugiej izbie.

Urodził się Kowaczowi syn.

— *Elien!...* — krzyknął Kowacz, otrzymawszy tę wiadomość.

— *Elien!...* — powtórzył Sawa.

Lecz po tym okrzyku nastąpiła natychmiast cisza smutku. Babka wyszła na palcach z izby położnicy i zbliżywszy się do uszczęśliwionego ojca, szepnęła półgłosem:

— Kowaczu... twoja żona słaba, bardzo słaba...

Kowacz rzucił się do łóżka żony i ujrzał ją bladą, bezsilną. Usiłowała ona dźwignąć rękę — lecz ręka jej opadała bezwładnie; usiłowała otworzyć oczy i oglądać dziecię, które przed nią Simiczowa trzymała — lecz powieki jej zwierzały się.

Kowacz oniemiał z bólu, jaki mu na ten widok piersi ścisnęły. Simiczowa podeszła do niego, pokazała mu syna, do którego on uśmiechnął się machinalnie i powiedziała mu pocichu:

— Doktora...

Na ten wyraz Kowacz wypadł z izby i spotkawszy się na progu z Sawą, chciał tenże sam wyraz powtórzyć mu pocichu. Lecz wezbrana boleść wybuchnęła głośnym, rozpaczliwym okrzykiem:

— Doktora!... wszystko oddam doktorowi, który mi uratuje żonę!... Sawo, biegnij i ty, wołaj wszystkich doktorów, jacy są w Szegiedynie!...

I rozbiegli się: Sawa i Kowacz — po lekarzy. Lekarze się zeszli, ale napróżno. Kowaczowa nie doczekała się nawet przyjścia pierwszego z nich.

Rozpacz Kowacza była nie do opisania. Straciwszy żonę, dopiero poznał, jak ją kochał. Stary huzar płakał, jak kobieta, i nie mógł żalu pohamować. Jest to zwyczajnem pomiędzy nami ludźmi, że po stracie dopiero dowiadujemy się o wartości tego, cośmy posiadali.

Pozostali mu jednakże: syn i przyjaciele. Simiczowa zastąpiła chłopcu matkę, a zastępowała ją tak sumiennie, że Szandor (domyślał się już bowiem zapewne czytelnik, że dziecię, o którym mowa, jest bohaterem naszej powieści) nie miał nigdy najmniejszego powodu żalić się, iż mu Opatrzność zabrała rodzoną matkę. Zabrała go Anna do siebie, doglądała, pielęgnowała i wychowywała, jak własne dziecko. Szandor rósł zdrowo i czerstwo.

Smutna ta okoliczność jeszcze bardziej zbliżyła Kowacza do Sawy, jeżeli mogło ich coś bardziej zbliżyć nad przyjaźń, która ich oddawna łączyła. Kowacz wcielił się niejako w rodzinę Simicza, stał się wraz z synem jej członkiem *de facto*, chociaż żaden nie przywiązywał go do niej węzeł pokrewieństwa. Śmierć jednakże żony zostawiła głębokie śla-

dy na jego duszy. Kawaczowi obrzydł celn, w którym samotnie mieszkał, obrzydła mu i kuźnia i jego robota. W robocie począł się zaniedbywać, a w domu nigdy prawie nie siedział. Zwykle przepędzał czas u Simiczowstwa lub w szynku. U Simiczowstwa piastował syna, a w szynku topił smutek w *palence*<sup>1)</sup>, i w końcu, po kilku leciech, przyszło do tego, że Kowacz — rozpił się.

Widział to Sawa, bolał nad tem mocno i żądnych nie zaniedbywał starań, aby wprowadzić przyjaciela na drogę opamiętania. Mówił mu raz:

— *Baraton!*... ty zanadto pijesz... to źle...

— O!... i ja wiem, że to źle... ale wiesz ty, cobym ja zrobił, gdybym nie pił?...

— Co?...

— Powiesiłbym się, albo utopił w Cissie...

Sawa na to kiwał głową.

— A to byłoby gorzej!... — pytał Kowacz.

Sawa kłął i odpowiadał:

— A byłoby gorzej!...

— Otóż widzisz, bracie Sawo — ciągnął dalej Kowacz — nie mogę wytrzymać... tak mi czegoś braknie na świecie!... tak mnie coś piecze w pierśsiach!... ot tu... tu — i pokazywał na piersi — gdzie mnie ten ułan przebił... Gdyby był *huncwot* pchnął silniej, to byłby mi dobrodziejstwo zrobił!... Och, Sawo!...

Sawa smutnie kiwał głową i zamilkł; ale po chwili milczenia odezwał się w ten sposób:

— Ależ ty masz syna!...

<sup>1)</sup> *Palenka*—gorzalka.

— Cóż z tego, że mam syna!... — przerwał mu Kowacz.

— Rozniesiesz po szynkach jego majątek... resztę rozszarpia ludzie...

Kowacz uderzył się pięścią w czoło, jakby mu jakaś myśl przyszła do głowy.

— Nie godzi się zapominać o dziecku rodzonym — ciągnął Sawa, myśląc, że trafił do przekonania przyjaciela.

— A nie godzi się, bracie, nie godzi — podchwycił Kowacz i odszedł śpiesznie, dodając na odchodnem: — Czekał na mnie... ja natychmiast powrócę... mam do ciebie ważny, bardzo ważny interes...

Jakoś rzeczywiście wkrótce Kowacz powrócił.

— Słuchaj, Sawo — rzekł, wchodząc — tyś mi bratem... Nie prawdaż?... i bratem wiernym, prawdziwym...

Sawie zmiękło koło serca, bo głos, którym Kowacz mówił, był tak rzewny, jakim on nigdy nie się odzywał.

— Bądźże ojcem memu dziecku — mówił dalej Kowacz — bo ja nie mogę być mu ojcem... Wyszędłem już, widzisz, na łajdaka...

I mówiąc to, postawił przed Sawą spory worek, starannie zawiązany.

— Weź to i schowaj... to mego syna majątek... Jak dorośnie, oddasz mu go... Do tego worka składał jego dziad i ja dokładałem; ale już nic dołożyć nie potrafię... Weź to i schowaj! — dodał, widząc, że Sawa wzbrania się i chce mu coś odpowiedzieć.

— Toż taka rzecz robi się przy ludziach!... — rzekł Sawa.

— Co mi ludzie!... — przerwał z niecierpliwością Kowacz. — Dla mnie więcej warta ta przysięga, którą... pamiętasz? . ileż to temu lat? daliśmy sobie wzajemnie...

Sawa zabrał worek i schował go do kufra pod łóżkiem. Był to ten sam worek, o którym wiemy, że nawet nie dotykał się do niego.

Po wręczeniu pieniędzy Sawie zdawało się, że Kowacz zrzekł się zupełnie wszelkich praw ojcostwa do syna, bo przez długi czas ani zajrzał do Simiczowstwa. Wałęsał się po mieście, pił na zabój, czasami zaglądał do domu i kuźni, ale po to tylko, aby wynosić sprzęty domowe i narzędzia kowalskie i mieścić je na palenkę. Ludzie w mieście mówili:

— Kowacza dyabli wezmą... Kowacz już ostatkami goni... Młotki i kowadła pozostawiał i poprzepijał... Biedne jego dziecko!... zostanie na łasce Bożkiej.

Tymczasem, w pięć czy sześć lat po śmierci Kowaczowej urodziła się Sawie córka. Dowiedziawszy się o tem, Kowacz natychmiast przyszedł do przyjaciela i pierwszym jego powiedzeniem było:

— To mego syna żona się urodziła... czy nie tak, Sawo-baraton?

— *Igen, igen, baratonen* — odparł Sawa, rozradowany i przyjściem na świat córki i przybyciem przyjaciela. z którym spotykając się niekiedy na mieście, nawet rozmówić się nie mógł, bo nie mógł nigdy spotkać go trzeźwym. Tym razem wszakże Kowacz był zupełnie trzeźwy i dodać należy, że ile razy zazierał do Simicza, zawsze pierwszej wytrzymał się. Odwiedziny jego były zwykle krótkie.

Niedługo już potem pociągnął Kowacz. *Palenka* przyspieszyła jego koniec, do którego i bez niej usposabiała go: rana w piersiach i zgryzota po stracie żony. Zmarł on w niespełna rok później, a gdy po jego śmierci urząd miejski wejrzał w jego interesa, pokazało się, że nietylko sprzęty i narzędzia nie wiedzieć gdzie podziały się, ale wypadło jeszcze sprzedać i dom z publicznego targu na zaspokojenie długów, których suma ogólna przenosiła o wiele wartość domu.

— Biedny chłopiec! mówili ludzie w mieście o Szandorze — otóż go ojciec zostawił!... nie tylko, że osierocił, ale jeszcze i obrał...

A Sawa nie odzywał się. Gdyby słówko piśnął, że ma u siebie pieniądze Kowacza, natychmiast napadliby na niego dłużnicy, a wiedział on doskonale, jakiego to rodzaju długi pijak po sobie zostawia.

— Niech tam narzekają na nieboszczyka — myślał sobie stary — ci, co mu podwójną kredką znaczyli, wtenczas, kiedy się mu dwójło w oczach... Nie pozwolę ja sieroty pokrzywdzić!...

A przytem jeszcze jedna rzecz przyszła mu na myśl:

— Miał Kowacz rację, że nie chciał przy świadkach dawać mi pieniądze... Dłużnicy wiedzieliby o nich; a tak... nikt nie wie, tylko Pan Bóg i ja!...

— Ale — przyszło mu znów na myśl — gdybym ja, broń Boże, umarł, to moje dzieci pieniądze Szandora zabrałyby jak swoje...

Myśl ta zafrasowała starego. Ale jak zaczął rozmyślać, stanęło na tem, że udzielił tajemnicy żo-

nie i oprócz tego, na arkuszu papieru, jak umiał najwyraźniej, wycyfrował następujące wyrazy:

„Pieniądze w worku, związane i opieczetowane, są własnością Szandora Kowacza i jemu, do rąk jego własnych, powinny być oddane. A jeżeliby które z moich dotknęło się tych pieniędzy, to bobajby mu ręce poschły na tym świecie, a na tamtym bodajby po same uszy w piekło wlaź.“ Dla lepszego znaku, na worku Szandora napisano: „pieniądze Szandora Kowacza.“

Skrypt ten — bez daty, bez tytułu, bez wymienienia sumy i bez podpisu — odczytał Sawa Annie, która go znalazła doskonałym — złożył we czworo i włożył do szkatulki, przykrywając nim dukaty.

— Gdy po mojej śmierci — powiedział do żony — otworzycie szkatułkę, to ten papier najpierwej wlezie wam w ręce.

Takiem było całe ubezpieczenie majątku Szandora.

#### IV.

Szandor tedy, po śmierci ojca, pozostawszy zupełnym sierotą, wcielił się do rodziny Simicza, na jej łonie rósł i wychowywał się. Był on młodszym od Janka i Łuki i kiedy ci do szkoły chodzili, Szandor bawił się wówczas prochem na ulicy; ale był za to starszym od Marijki i kiedy ta czolgać się poczęła, Simiczowa stawiała przy niej na warcie Szandora, nakazując mu wyraźnie:

— Pilnuj ją... żeby sobie co złego nie zrobiła... bo pamiętaj, że to twoja żona!...

Chłopak pilnował — pilnował szczerze, szczególnie po dostaniu od Sawy w skórę, za to, że odbiegł raz dziecka, zajrzawszy coś ciekawego na ulicy i Marijka zalaża w pokrzywy, któremi się srodze poparzyła.

Kiedy przyszedł na Szandora czas pójść do szkoły, Janko już był w Karansebeszu, a Łuka w rzmiośle, Marijka zaś podrosła. Więc, powracając ze szkoły, ta ostatnia tylko była jego towarzystwem; on z nią się bawił, zaprzęgał ją, kielznając sznurkami, i poganiał po ogrodzie i rósł z nią razem, a ciągle słyszał:



— To twoja żona...

Marijce także nabiło się w głowinę, że Szandor jest jej mężem i liliście to zrazu małżeństwo wyrastało jednak obok drugiego; mąż z chłopięcia stał się chłopcem, żona z dziewczyny dziewczyną. A kiedy Szandor dorósł lat piętnastu, przyszła pora pomyśleć o zawodzie życia dla niego. Potrzeba ta pomyślenia srodze zakłopotala Sawę; myślał przez cały tydzień i w końcu rzekł do żony:

— Anno... trzeba to pomyśleć... hm!...

— O czym? — zapytała Simiczowa.

— A przecież Szandor weźmie naszą Marijkę...

— I... kiedy to nastąpi! — odparła Anna — będzie jeszcze dość czasu o tem myśleć... Marijka ma dopiero dziewięć a Szandor piętnaście lat... Nawet i zaręczać ich nie można... Tylko żydzi...

— A!... — przerwał Sawa z niecierpliwością — nie o to bo chodzi!... Tyś mnie nie zrozumiała!... Powiedziałem, że Szandor weźmie Marijkę dlatego, żeby powiedzieć, że ja mu nie dam dziewczyny, jeżeli on się żadnego rzemiosła nie nauczy!... — i zaklął stary i dodał:

— O! nie dam!...

— To trzeba, żeby się nauczył—wtrąciła Anna.

— A trzeba... to prawda... ale jakiego?... hm!...

— Kowalstwa — rzekła Anna.

Sawa uderzył dłonią o czoło i zawołał, klaskając w palce:

— Prawda!... a mnie to do głowy nie przyszło!... Jego ojciec był kowalem... dlaczegożby on nie miał być?... Oddam go do kowala...

I zaraz tegoż samego wieczora odbył stary kon-

ferencyę z kowalem, jednym z najlepszych w Szegiedynie, i nazajutrz posłał do niego Szandora, który jak tylko pokazał się w kuźni, natychmiast postawionym został przy miechu. Z jednej szkoły dostał się nasz bohater do drugiej. W pierwszej nie miał już co robić, nauczywszy się bowiem czytania, pisania, rachunków, katechizmu i historii świętej, już nie miał czego uczyć się i uczęszczał do szkoły bardziej dla pomagania profesorowi, który zrobił z niego ni- by audytora, a w rzeczywistości swego, w pewnych razach, zastępcę. W tej zaś ostatniej jakoś mu nie dobrze się wydało. Jeszcze zrazu bawiło go dęcie miechem, zwyczajnie jako nowość, każda bowiem nowość posiada własność podobania się młodemu chłopcu. Każdy z nas doświadczył tego na sobie. Pamiętam, że i ja niegdyś w ręce kowala całowałem, zaklinając go na wszystkie świętości, aby mi pozwolił choć przez chwileczkę podać miechem. Ale gdy przyszło Szandorowi dać tydzień, dać miesiąc, dać pół roku, dać nakoniec przez rok cały, to i obrzydło mu nareszcie. Nie było jednakże rady. Szedł do miecha, jak na ścięcie, ale musiał iść. Kowal był surowy, nie pozwalał sobie żadnych uwag robić; czeladnik, który mu pomagał, był jeszcze surowszym i krótko a ostro trzymał terminujących chłopców.

Nigdzie w rzemieślniczej klasie tyle pedanteryi znaleźć nie można, jak pod austryackim panowaniem. Niczem jest zapamiętały pedagog w porównaniu z tamiecznym czeladnikiem. Przed zostaniem czeladnikiem trzeba odterminować, to jest trzeba przejść przez wszystkie cierpienia i poniżenia, jakie tylko wymyślna fan-

tazy ludzka wynaleźć może. Terminowanie jest niby nauką, lecz nauka gra w niem podrzędną rolę, a główną wysługiwanie się. Terminujący chłopak uczy się dorywczym sposobem, przez napatrzenie się z boku, a nie przez to, że mu ktoś pokazuje. Pryn-cypalne jego zajęcia zależą: naprzód na posługiwaniu pani majstrowej, potem na posługiwaniu panu majstrowi, potem na posługiwaniu czeladnikom, a na ostatek na posługiwaniu w warsztacie i w zbywającym dopiero od tych rozlicznych posługiwań czasie daje się mu coś do odczyszczenia lub do potrzymania, przyczem może przypatrywać się robocie. W posługach wymaga się od niego szybkości i akurtności. Niech np nie stanie na zawołanie z ogniem do fajki czeladnikowi, to go ten nieomieszka skarcić nogą lub kijem po grzbiecie. I czeladnik uważa sobie za obowiązek traktować w ten sposób chłopca dlatego, że i on sam przez te koleje przechodził, więc tylko chłopcu oddaje za swoje. Dostawszy się pod taki rygor, jedynem życzeniem chłopaka staje się co najrychlej wydobyć się z pod niego, a wydobyć się inaczej nie może, jeno, wyzwoliwszy się na czeladnika. Więc, chociaż go nie uczą — on sam się uczy, chociaż mu nie pokazują, on usiłuje podchwyttem zbadać tajemnice rzemiosła. Złe traktowanie staje się dla niego pobudką do nauki; poddaje się mu, poddaje się niemiennie całemu formalizmowi, zaprowadzonemu we wzajemnych stosunkach pomiędzy terminującymi a wyzwolonymi, nakazującemu np. zdejmować czapkę przed czeladnikiem, wstawać przed nim, pozdrawiać go pewnym ściśle określonym sposobem i t. d., myślcąc sobie w duchu:

— Odpląć ja to wszystko na innych chłopcach... niech tylko wyzwolę się!...

Pedanterya ta w świecie rzemieślniczym ma ścisły moralny związek z instytucjami krajowemi. Cechy rzemieślnicze są kopia, a bodaj czy nie modelem cechów sądowniczych, administracyjnych, policyjnych, wojskowych, pedagogicznych i t. d., i jednakowy wydają owoc, to jest: wyodrębniają wpisanym do nich ludzi, wyradzając patryotyzm szewcki, stolarski, kowalski i t. d.

Szandor przeto, dostawszy się do kowala, uczył się rzemiosła i wciągał się do cechu. Pośpieszam jednakże dodać, że rzemiosło kowalskie bardziej jest, jeżeli tak godzi się powiedzieć, świeckiem, niż inne; jest bowiem łatwiejszem, a z tej przyczyny, nie cięży na niem tak wielka ilość formulek. Czeladnicy nawet kowalscy względniejszymi są od innych. Pomi-mo to jednakże, Szandor przestał przez rok cały przy miechu i po roku dopiero przypuszczony został do trzymania obcęgami żelaza na kowadle, a po drugim roku do kucia. Stojąc przy miechu, zbadał on tajemnice nagrzewania żelaza i przypatrzył się z boku sposobowi kucia, tak, że gdy sam wziął młotek do ręki, kucie poszło mu odrazu dobrze. Praktykował jeszcze przez dwa lata i nabył tyle wprawy, że mógł już sam sobie we wszystkim poradzić: mógł podkuć konia, okuć bryczkę i zrobić z żelaza wszystko, czego wymaga kowalska sztuka, a przyszedłszy do tej doskonałości, wyzwolił się i został — czeladnikiem. Miał wówczas dziewiętnaście lat.

Przez cały czas terminowania u kowala Szandor oderwanym był od familijnego pożycia u Simi-

czów. Dniował i nocował u majstra swego i u niego się żywił, takim bowiem jest zwyczaj w rzemieślniczej nauce, a do Sawy zazierał tylko w niedziele lub święta. Przychodził on do domu jego i do rodziny, jak do swoich, i miło mu było odwiedzać ich; lecz z latami rozwijał się w nim rozum; rozum napędzał mu do głowy rozliczne myśli, pomiędzy którymi zawitała jedna, która go zaniepokoiła. Ujrzał się on sierotą, udobrodziejstwowanym przez Sawę. Sawa go wychował, Sawa oddawał go do szkoły, Sawa oddał go do rzemiosła i dał mu chleb w ręce... Wyrodziło się w bohaterze naszym zapytanie:

— Czem ja się temu Sawie odwdzięczę?

Marijka podrasłała jak na drożdżach, a piękniała i piękniała z każdym dniem tak, jak brylant w ręku szlifierza, za każdym pociągnięciem ręki stający się jaśniejszym. I ta Marijka zostać miała jego żoną!... Póki był sam dzieckiem, uważał to ożenienie swoje jako rzecz naturalną, albo raczej niewiele go ono obchodziło; lecz mając lat dziewiętnaście, wydało się mu ono dowodem szczególnej łaski opiekuna, ni by nowem jakimś dobrodziejstwem.

— Jak ja Sawie odśłużę? — pytał się sam siebie.

Pytanie to napępiało serce Szandora uczuciem wdzięczności i postanowieniem dowiedzenia wdzięczności czynem. Z tego powędu wyzwolenie na czeladnika wielce go uradowało; widział się bowiem už nietylko na swoim chlebie, ale przytem w możności robienia Sawie przysług, którymi w części przynajmniej spodziewał się spłacić dług, jaki względem niego zaciągnął.

Na wdzięczności tej, niby na opoce granitowej, oparła się jego miłość dla Marijki. Było w tej miłości coś więcej braterskiego, niż kochankowego; coś takiego, co się paliło wciąż jednakowym i czystym płomieniem, nie migającym przez chwilę wielkim blaskiem, nie palącym piekielnym ogniem, ale też nie narażonym na przepalenie się i spopielenie. Brat Szandor był Szandorem kochankiem i jeżeli niekiedy temu ostatniemu czternastoletnia piękność Marijki zawracała głowę i wyzywała w nim krewkość, to tamten pierwszy natychmiast go łagodził i kazał mu myśleć o jej szczęściu.

— O, będę dla niej mężem takim, jakim jest Sawa dla Anny! — wołał Szandor w głębi duszy swojej.

A Marijka była względem niego taką, jak zawsze. Wiedziała ona od dzieciństwa, że będzie żoną Szandora, a w czternastym roku swego życia wiedziała już, co to jest—być żoną. Dziewczęta bowiem są takie domyślne!... Ale to w niczem nie zmieniało i nie naruszało stosunku jej zwykłego do przyszłego jej męża. Była ona dla niego tymczasem siostrą, siostrzyczką czułą, kochającą, lecz i jej uczucie siostrzane mimowolnie jakoś, naciągnęło się niby struna dla wydania czystego i dźwięczniejszego głosu; a że naciągało się stopniowo, od kolebki, więc wzmacniało się latami, ale nie groziło pęknięciem. Ktoś zarzucić gotów prozaiczność takiej wykołysanej i wypiastowanej miłości, poczętej w pieluszkach i rozwijającej się jak pasternak na grządce, przy pomocy podlewania i podgartywania. Ale cóż na to poradzić—kiedy tak było!... Trudnoż mi wymyślać ja-

kieś przeszkody, które nie istniały, kazać np. kochankom spotkać się niespodzianie w jakiejś dzikiej a romantycznej okolicy i postawić pomiędzy nimi przepaść do przeskoczenia — kiedy oni wychowali się i wyrosli razem i pokochali się jak brat z siostrą i nim pokochali się, byli przez rodziców jedno dla drugiego przeznaczonemi. Przyznam się otwarcie, że byłbym rad, gdyby tego przynajmniej ostatniego (t. j. rodzicielskiego przyzwolenia) nie było, bo powieść skomplikowałaby się odrazu i odrazu popłynęłaby, jak katarakta, rozbijając tamy i zawady lub rozbijając się o takowe. W braku zaś tego, musi ona płynąć spokojnie, jak życie rzemieślnika, i rozpowiadawszy o uczuciu córki stelmacha ku czeladnikowi kowalskiemu, rozpowiadać dalej koleje tego czeladnika.

Wyzwolenie Szandora odbyło się ze wszystkimi formalnościami w kowalskiej gospodzie. Wszedł on do niej chłopakiem, a wyszedł z niej człowiekiem, mającym swoją rubrykę na rejestrach ludności węgierskiego królestwa, swoje miejsce w kowalskim fachu i swoją książeczkę (*Reisebuch*) w kieszeni. Młot stał się godłem jego człowieczeństwa — pewnym rodzajem herbu, na który zasłużył i który godnie mógł nosić dlatego, że, jak wiemy, był dobrym kowalem. Świat się przed nim otworzył, a na tym świecie migało mu w oczach do czerwona rozpalone żelazo i skrzypiał mu w uszach miech, a w iskrach, sypiących się z kowalskich węgli, niby salamandra, podlatywała cudna postać dziewczica.

Pierwszy rok po wyzwoleniu przebył Szandor u kowala, u którego odterminował. Tak chce zwyczaj, tak nakazywała przyzwoitość; — trzeba majstro-

wi odwdzińczyć się za naukę. Odwdzięczenie to jednakże nie robi się *gratis*, ani też tylko za kawałek cieleba, jak przez czas terminowania: majster płaci i dogadza, jak każdemu innemu czeladnikowi. Zmienia się przytem stosunek do majstra, z którym staje się na równi — i do terminujących chłopców, których ma się prawo kuksać i ciągnąć za uszy. Należy przytem żadnej mściwości w sercu za dawniejsze obchodzenie się ani do majstra, ani do czeladników nie zachować. Jest to tak zupełnie, jak gdyby człowiek na nowy jakiś świat narodził się. Szandorowi, który — powiedzmy nawiasowo — lubił i umiał po swojemu zapatrywać się na rzeczy (jak to zresztą pokazało się z jego poczucia do obowiązku wdzięczności ku Sawie), wydało się to niesprawiedliwem. W parę dni więc po wyzwoleniu zapytał czeladnika, z którym razem pracował w kuźni:

— Powiedz mi, dlaczego dziś obchodzisz się ze mną inaczej niż wczora?

— Dlatego, że dziś jesteś czeladnikiem, a wczora byłeś chłopcem — odparł mu towarzysz tonem lekkiego zdziwienia.

— Cóż się we mnie tak raptownie mogło zmienić?... ja takim jestem dziś, jakim byłem wczora... Wypiłem tylko z wami *bruderschaft* i dostałem książeczkę; ale to mnie ani pogorszyło, ani polepszyło...

— Jakto!... to ty tego nie rozumiesz!... — zawołał zdumiony czeladnik. — Toż ciebie nie warto było jeszcze wyzwalać na czeladnika, bo ty gotów bratać się z chłopakami!... Gdybym był o tem wiedział, to byłbym powiedział na gospodzie...

Szandor zmilczał nieco zawstydzony, a czeladnik prawił dalej:

— Czyż nie wiesz, jak się dzieje na świecie?... Ot, weź na przykład *gemeinera* i kaprała. Póki *gemeiner* jest *gemeinerem*, to mu kaprał, kiedy zechce, może *fünf und zwanzig* laską wyliczyć (wówczas kaprałe austriaccy nosili jeszcze laski, jako godło stopnia); a gdy tylko *gemeiner* zostanie kaprałem, to już nietylko dawniejszy kaprał niema prawa bić go laską, ale natychmiast jest *per du*. Rozumiesz ty to?... Otóż tak samo i w rzemieśle...

Szandor kiwnął głową na znak, że rozumiał, chociaż tłumaczenie czeladnika nie wydało się mu bardzo jasnym. Pomimo to jednakże przyjął nowe swoje położenie społeczne wesółem sercem i chociaż robił to samo, co w ostatnim roku terminowania, ale robota szła mu raźniej, czas zbiegał mu szybciej, kuł i grzał żelazo, przyspiewując i pomyśliwając o przyszłości, która mu się coraz piękniejszą wydawała, zapewne dlatego, że ta, która mu w owej przyszłości towarzyszyć miała, rozwijała się jak róża na majowym słońcu. Rok zbiegł Szandorowi jak dzień jeden i nastąpiła chwila rozpoczęcia ostatecznej a koniecznej próby rzemieślniczej, bez której nie mógł zostać majstrem, a zatem nie mógł ani kuźni na siebie otworzyć, ani urzeczywistnić gorącego chcenia serca swego. Próbą tą była — wędrówka.

— No, Szandor — rzekł do niego Sawa w wigilię odejścia jego — idziesz na wędrówkę... Niechże cię Pan Bóg prowadzi!... A pamiętaj, żebyś za dwa lata był z powrotem... Czekamy na ciebie... z weselem... — I dodał stary żartem: — Jeżeli się spóźnisz,

to może Marijkę kto uchwyci i ty zostaniesz na lodzie...

Szandorowi aż gorąco się zrobiło na wspomnienie wesela i Marijki, nie dlatego, że obawiał się, aby jej kto nie uchwycił, ale dlatego, że takie wielkie szczęście z taką łatwością mu przychodziło. Uczucie wdzięczności zakolało mu w sercu i następującymi wyraziło się słowami:

— Ani wam odwdziaczyć, Sawo, ani odsiużyć nie potrafię za to, czem wy dla mnie jesteście, i za to wszystko, coście dla mnie zrobili i co robicie... Nie dość, żeście mnie wychowali i wyuczyli, ale jeszcze dajecie mi dziecko wasze, które moglibyście wydać za najbogatszego w Szegiedynie człowieka, i chcecie, żeby córka wasza dorabiała się wraz ze mną pracą, zamiast, żeby mogła żyć jak grafka... Wyście, Sawo, mój dobroczyńca... wielki dobroczyńca!... — i zakreśliły się Szandorowi łzy w oczach.

Sawie także wilgotno zrobiło się pod powiekami.

— No!... no!... — rzekł — nie będzie ona z tobą taką ubogą, jak się tobie zdaje... Jak ci coś powiem, gdy powrócisz, to przekonasz się...

— Może chcecie jej dać posag!... — przerwał Szandor — O!... co tego, to nie przyjmę!... Gdy mi Bóg dopomoże, przyniosę z sobą z wędrówki tyle, że wystarczy mi na otwarczenie warsztatu, a potem mojemu rękami utrzymam ją i siebie...

Sawa o mało nie wygadał się, że ma w kufrze worek z pieniędzmi Szandora i już otwierał usta, żeby mu o tem powiedzieć, ale wstrzymał się, uśmie-

chnął, a podniósłszy rękę, począł kręcić palcem w powietrzu i mówił:

— Fiul... fiul... fiul... co to młodemu po growie się roi!... Nibyż to kto bierze żonę bez posagu... Widać, że tobie dopiero dwadzieścia tylko lat i dlatego nie wiesz jeszcze, że żona bez pieniędzy jest jak ryba bez pieprzu, można się nią najeść, ale... co po takim jedzeniu!... Raz, dwa razy... wyda ci się smacznem, a potem obrzydnie, a przytem tobie się zdaje, że zarobić to tak łatwo!... Będiesz pracował jak czarny wół i nic nie zarobisz, bo grosz idzie do grosza, ale nie lgnie do gołych rąk (zauważyć warto, że nasz Sawa nie uczył się politycznej ekonomii...) I nawet nakazuję ci po ojcowsku — dodał stary na seryo — ażebyś nie dusił zarobionych pieniędzy, ażebyś nie żałował sobie na gębę, bo kto pracuje, a szczególnie w podróży, temu do pracy potrzebne są siły... Zjedz i wypij dobrze za swój grosz i nie oglądaj się na to, co będzie!... Pamiętaj, że ja dla ciebie jestem ojcem, a moja Anna matką, i że my myślimy o tobie, jak o naszym własnem dziecku...

Za całą odpowiedź na tę, z początku żartem, a w końcu seryo wypowiedzianą naukę, Szandor ucałował ręce swego opiekuna, który uściskał go serdecznie, dodając:

— Bo ty wiesz o tem, że ja i twój ojciec, byliśmy z sobą jak rodzeni bracia, więc powinieś mnie jak ojca uważać i nawet nie dziękować za to, co się tobie odemnie dostanie... Niech się tobie zdaje, że to ci ojciec twój daje...

Tym wykrętem myślał stary ułagodzić skrupu-

ły Szandora; lecz nie dopiął celu, bo Szandor nie zmienił postanowienia nieprzyjmowania posagu.

W chwili rozstania się bohatera naszego z rodziną Simicza pokazało się, że Marijka do Szandora i Szandor do Marijki mieli się niezupełnie jak brat i siostra. We wzajemnem uczuciu ich było coś takiego, co rozstaniu się tych dwojga młodych ludzi nadało charakter gwałtownego rozdierania jakiejś całości na dwie połowy — rozdierania, które zcalić się musi dlatego, że serca tych dwóch połów zlane są w jedno uczucie.

— Wracajże jaknajprędzej... *lellem!*... *galambum!*... — mówiła dziewczyna — a była to już, trzeba nie zapominać, piętnastoletnia dziewczyna.

— A nie zapominaj o mnie — prosił ją Szandor.

— Czyż jabym mogła zapomnieć o tobie!... — odpowiedziało dziewczę tonem wymówki.

— Bo to widzisz — rzekł Szandor, jękając się, z wyrazem niespokojności w oczach — bo to widzisz... Tyś taka piękna!... Ciebie dużo ludzi otoczy... Na ciebie się patrzy... za tobą chodzi... dużo ludzi... ładniejszych... lepszych... bogatszych... odemnie... I jeżeli oni... jeżeli ty!... — jękał się Szandor, nie umiejąc wygłosić myśli swojej.

Dziewczyna przechylila główkę i uśmiechniętym, śmiałym, ale pełnym wymówek wzrokiem patrzyła w oczy kochanka, a gdy się ten zaciął w mównieniu, powiedziała tylko:

— Szandor!... Szandor!...

I nic więcej wymówić nie potrzebowała na uspokojenie odchodzącego kochanka.

Szandor odszedł pobłogosławiony przez jednych,

pożegnany serdecznie przez drugich, a wszyscy zamówili sobie u niego prędko, jak najprędszy powrót, który Sawa wyznaczył wyraźnie za dwa lata.

Omylił się jednakże stary Sawa w rachubie lat. Liczył on rok od Nowego Roku do Nowego Roku i do ogólnego rachunku czasu nieobecności Szandora wyliczył trzy ćwierci roku z góry. Szandor wyszedł na początku jesieni, więc na początku powtórnej po jego odejściu jesieni powinien był powrócić. Sawa zaś myślał sobie:

— On nie wytrzyma... pośpieszy na drugi Nowy Rok.

I dlatego od Nowego Roku codziennie wyglądał Szandora. I wszyscy domownicy jego wyglądali go, a Marijce nieraz przychodziło na myśl:

— Co to znaczy, że on nie wraca!... Czy przypadkiem... czy czasem... — i nie mogło w jej myśli sformułować się żadne wyraźne przypuszczenie, chociaż wzdychała niekiedy i mówiła sama do siebie:

— Na świecie... po tych wielkich miastach, o których tyle dziwnych rzeczy rozповідаją... muszą być i bogatsze... i lepsze... i... i... — spoglądała w zwierciadło, w którym widziała siebie i swój półuśmiech, który jakoś niby od niechcienia wałęsał się po jej obliczu, zawisając to na ustach, to na oczach, to rozbiegając się po twarzy i czole.

Niespokojność Szandora nie była bez powodu, już dlatego samego, że miłość, jak wiadomo, jest podejrzliwą, a wiedział, na jakie próby po jego odejściu narażona będzie miłość Marijki. Obecność jego w Sze-giedynie była cerberową wartą, czuwającą nad zaklętym skarbem. Odejście — zdejmowało ze skarbu za-

klęcie, można już było kusić się i ubiegać o niego. Marijka była piękną, i wszyscy jednogłośnie uznawali, że piękniejszej od niej w całym komitacie<sup>1)</sup> nie było, i całego komitatu młodzież ubiegała się o to, żeby choć popatrzeć się na nią. Z tego powodu Sawa miał dużo roboty i dużo gości. Grafy, barony obstalowywali u niego koczki i przychodzili dowiadywać się o nie, a przyszedłszy, mówili o koczku, a spoglądali na Marijkę, i widać było po niejednym, że sto koczów oddałby chętnie za nią. Ci jednakże byli najmniej niebezpieczni, bo oni mieli tylko pieniądze, a które ani Simicza, ani Annę, ani Marijkę nie mogły do tego zlakomić stopnia, żeby starzy o przyrzeczeniu uroczystem, a dziewczyna o uczuciu zapomnieli. Lecz pomiędzy młodzieżą szegiedyńską, pomiędzy znajomymi, rówieśnikami, a nawet przyjaciółmi Szandora byli tacy, którzy za Marijkę nie koczki, nie pieniądze, ale życieby oddali; a nie jednemu z nich nie brakowało ani urody, ani bogactwa, nadających im w połączeniu ze światowem ułożeniem te własności: „co to — jak ukraiński poeta powiada — pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach.“ Marijka otoczona była niebezpieczną czeredą czcicieli, którą obecność Szandora trzymała w przyzwoitem oddaleniu, bo w minie bohatera naszego było coś takiego, co powiadało, że on łeb współzawodnika gotów wziąć za kowadło i młotem weń trzepnąć. Więc nawet panicze z komitacowych jurydykcyj szanowali tę gotowość i tylko zdaleka pozwalali sobie ronić wstępchnienia i przysyłać je pod adresem pięknej stelmachówny. Zaklęta dzie-

<sup>1)</sup> *Komitat* — obwód, gubernia.

wczyna, niby królowna w czarodziejskim zamku, była dla nich nieprzystępna. Starali się oni zwabić jej uwagę ku sobie, robiąc sobie nadzieję, że za uwagą przyjdzie i serce, i można powiedzieć, że od czasu, jak Marijka, jako panna na wydaniu, zajaśniała na szegedyńskim horyzoncie, do Szegiedynu, pomiędzy młodzież wszelkich klas i stanów zawitała niezwykła elegancja i powiększyła się znacznie konsumpcja perfum, olejków, pomady do włosów, fiksatuaru do wąsów i piór do kapeluszków. Ale wszystko to było napróżno. Nie pomadowany i nie fiksatuarowany kowal zakrywał ich sobą i znieużyteczniał wszystkie ekspensy elegancji. Szandor to wszystko widział. Serce jego drżało, nie obawą o serce kochanki, ale gniewem na te manewry podchodzących zdaleka a ostrożnie rywalów, których on miał poprostu za złodziejów, skradających się do jego własności. Miał on przeto powody być niespokojnym może dlatego samego tylko, że przyzwyczaił się do roli strażnika.

— A nuż — myślał sobie — a nuż rozbałamucą dziewczynę!... jak jej zaczną kłaść w uszy, że piękna, że gdyby sam palatyn węgierskiego królestwa ją zobaczył, to zarazby zechciał posadzić ją obok siebie na tronie ze słoniowej kości, to jej moja kuźnia nie wyda się bardzo powabną...

I aż zębami zgrzytał biedny Szandor i klął po węgiersku i radby był nie iść na wędrowną; ale potrzeba mu było iść — a potrzeba dla człowieka ostrym jest bodźcem i potężną dźwignią, która go nieraz wbrew woli postępować zmusza, a niekiedy dziwy z niego tworzy. Poszedł Szandor, z tornistrem na plecach,

z kijem w rękę, z zarobionym przez rok groszem w kieszeni i z żalem w sercu — ruszył w świat dobijając się poważniejszego pomiędzy ludźmi stanowiska.

A jak tylko on odszedł, natychmiast po Szegiedynie gruchnęła wieść.

— Niema Szandora Kowacza i nie będzie go przez dwa lata!...

Dwa lata!... to kawał czasu, znaczący wiele w życiu młodego człowieka. Mając dwa lata przed sobą, a za sobą dwa, a najwięcej trzy dziesiątki lat, o! to śmiało wszystko przedsiębrać można, licząc na pewno na powodzenie.

Tak myśleli w Szegiedynie wszyscy ci młodzi ludzie, którym się roilo o podbiciu serca Marijki, i przypuścili do niej ze wszystkich stron szturm. Każdy z nich ułożył sobie plan postępowania, albo raczej przystępowania i każdy rozpoczął działanie wedle planu. Planów tych, każdego z osobna, rozbić nie będziemy, raz dlatego, że było ich dużo, a powtórę dlatego, że wszystkie, z małemi odmianami, podobnemi były do siebie, zależąc głównie na ujęciu wzroku, słuchu i powonienia dziewczyny. Młodzież się stroiła, sadziła się na grzeczne słówka i komplementy i oblewała się olejkami i perfumami, a każdy się nastawiał z podwójnym zamiarem: zatarcia swoją osobą wspomnień o Szandorze i zakasowania spółzalotników. A gdy Węgier się nastawia, to go warto widzieć!... panoszy się, nadyma, pozuje, obtyka się piórkami, obwiązuje wstążkami, obwiesza łańcuchami i łańcuszkami, a na palce tyle wkłada pierścionków, ile się zmieści i na ile go stać. Dla kobiet zwykle nie jest on zbyt delikatnym, ani nadskakują-



cym, ale Marijka stanowiła w kobiecym świecie wyjątek i do niej Madiary i nie Madiary wyjątkowym przystępowali sposobem: zmieniali obyczaj, gwałcili, rzecz można, naturę. Lecz ponieważ spółzalotników było dużo, więc obudziło się pomiędzy nimi spółzawodnictwo, które każdemu z osobna pomieszało szyki; każdy bowiem, chcąc ubiedz innych, śpieszył się, i śpiesząc, sam sobie psuł plan—wyrzucał miłość swoją przed Marijką i — dostawał odkosza. Nie później jak w pół roku po odejściu Szandora, Marijka takie już miewała rozmowy:

— Kocham ciebie, słiczna Marijko!...

— To kochaj — odpowiadała filuternie uśmiechnięta dziewczyna.

— Gotów jestem oddać za ciebie życie!...

— I cóżby z tego było, gdybyś życie oddał?...

— Możebyś uwierzyła w moje kochanie!... możebyś mnie pokochała!...

— To byłoby już za późno... Moja miłość na nicby się już tobie nie przydała...

— Ty żartujesz!... nie wierzysz mi!... nieczuła!... zimna!... okrutna!...

— Ale wierzę!... wierzę!... — mówiła, śmiejąc się Marijka.

— Czy chcesz jakich dowodów?... powiedz!... rozkaż!... — wołał zdesperowany zalotnik — będę twoim sługą!... niewolnikiem!...

— O!... a toż mi na co!...

— Pozwólże mi przynajmniej kochać ciebie!... pozwól spodziewać się, że moja wierna, bezgraniczna miłość będzie kiedyś wynagrodzoną...

Wówczas dziewczyna przybierała minę bardzo seryo i odpowiadała:

— Ja kocham Szandora i żadnego pozwolenia, ani obietnicy nikomu dawać nie mogę.

I odpowiadała tak każdemu i niejedynemu rozstając się z nią, pomyślał sobie:

— Ta dziewczyna oszalała!... Co ona w tym Szandorze widzi?... E!... niech ją dyabli porwą!... szkoda moich zachodów!...

I jeden po drugim odstawał. Coraz szczupła liczba wielbicieli Marijki. I pod koniec dwóch lat pozostało dwóch, czy trzech, pomiędzy którymi jeden tylko zasługuje na bliższe poznanie się z nim.

Tym jednym był niejaki Leopold Memlauer Edler von Kronenschwert. Z nazwiska domyśleć się można, że był on szlachcicem i Niemcem i ten domysł był wszyskiem, co o kwalifikacjach jego społecznych powiedzieć było można. Mieszkał on w Szelegiedynie oddawna, grając rolę człowieka, żyjącego z procentów od jakiegoś kapitału, o którym nikt nie wiedział, a który jednakże musiał być donośny, bo wystarczał mu na bardzo wygodne życie. Memlauer mieszkał porządnie, trzymał służących i konie, znał się ze wszystkimi w mieście i komitacie i rad wdawał się ze wszystkimi, tak z rzemieślnikami i mieszczanami, jako też z magnatami, do których wstęp otwierał mu jego tytuł: „Edler von.“ W jego wdawaniu się z mieszczanami było coś protckcyjnego, ale zarazem troskliwego; lubił bowiem wchodzić w ich kłopoty miejscowe, w rozliczne zajęcia nawet narodowościowe: Z Racami był Racem, z Madiarami Ma-

diarem, z Wołochami Wołochem, a tak umiał być, czem chciał, że nie wiedząc o niemieckim jego pochodzeniu, trudno było rozpoznać, czy on jest Racem, czy Madiarem, czy Wołochem; mówił bowiem przytem płynnie i dobrze wszystkimi miejscowemi językami. Zdawało się, że to jego interesowanie się miejscowemi sprawami pochodziło ztąd, iż procentowicz nie wiedział, co z czasem swoim robić; a jednakże miał on zatrudnienie, o którym wiedział pocztarz, ale wiedział tylko ogólnie, że pan Memlauer regularnie prowadzi jakąś korespondencyę z Pesztem i Wiedniem i że wysyłane przez niego listy są zawsze grubsze przy końcu, a mniejsze w ciągu miesiąca. Adresy na kopertach bywały rozmaite i rzadko bardzo były na nich ulice i numera domów wymienione, kończyły się zwykle prostem „*in Wien.*“ Raz przypadkiem—a może i nie przypadkiem—otworzył się jeden z jego listów na poczcie w Szegiedynie. Pocztmistrz chciał go przeczytać, lecz nie mógł; był bowiem pisany kluczem i jedno tylko było w nim zrozumiałem—to numer, postawiony tak, jak na papierach, wychodzących z urzędowych dekasteryj. To dało pocztmistrzowi do myślenia, ale nie naprowadziło go na żaden domysł. Stosunki jednakże Memlauera musiały mieć jakieś znaczenie, on to bowiem np. był owym przypadkiem, który zaprowadził Janka do Karansebeszu, doradziwszy mu drogę, jaką on obrał i opatrzywszy go listem rekomendacyjnym. On i innych kilku młodych ludzi pokierował i poumieścił, a zawsze w jakimś biurze rządowem i protegował ich zdaleka. Wzbudzał więc z tego powodu ku sobie pewien rodzaj szacunku, pomieszanego z jakąś niedającą się

określić obawą, którą łagodziło pełne taktu i przyzwoitości obchodzenie się jego z ludźmi. A że posiadał u siebie książki i widywano go często czytającym, więc miano powszechnie za jakiś gatunek zamożnego i posiadającego wpływy filantropa, który zamożność swoją na swój własny obraca użytek, a wpływami rad ludziom dopomaga. A że on obrał Szegiedyn na mieszkanie, to temu nie dziwiono się wcale, bo okrom niego było tam jeszcze i kilku innych procentowiczów, trzymających się zazwyczaj takich, jak Szegiedyn miast, gdzie i tanio i wygodnie i bez trosk można pędzić żywot. Ponieważ zaś ten gatunek ludzi jest powszechnie nieużyty, zasklepiający się w sobie, wyosobniający się, przeto Memlauer uważany był jako wyjątek dobry i jako taki miał pewną powagę w społeczeństwie miejskiem—powagę, z którą nigdy w sprawach publicznych nie występował, ale której jednakże używał sposobem prywatnym, szeptając niby do ucha temu—to owemu jakieś rady, jakieś przestrogi, jakieś uwagi, takie zawsze bezinteresowne, a tak trafiające do przekonania tych, którym je szeptal, że miano go za bardzo rozumnego i praktycznego człowieka i nieraz udawano się do niego z żądaniem sądenia zająć lub pogodzenia pokłóconych stron. Lecz w takich razach Memlauer się uchylał, tłumacząc się, że on do niczego mieszać się nie chce.

Pod względem fizycznym był to człowiek średniego wieku, wydający się młodszym od lat swoich, miał bowiem czterdzieści kilka lat, a liczono mu trzydzieści kilka, a to dlatego, że wyglądał czerstwo i bardzo dobrze, a wyglądanie swoje podnosił ele-

ganckiem prawie ubieraniem się i starannem utrzymywaniem włosów, faworytów i wąsów. Powierzchność jego możnaby tak opisać: wzrost średni, tusza umiarkowana, twarz okrągława, nos równy, usta zwyczajne, skłonne do dobrotliwego uśmiechu, oczy siwe, włosy, faworyty i wąsy koloru płowego, wpadające w czerwonawy, pleć delikatna, ręce utrzymane biało i zawsze bardzo czysto i ozdobione dużym złotym sygnetem, który na palcu okaziciela lewej ręki czerwił się pysznym krwawnikiem. Na twarzy jego rozlany był wyraz dobroduszości, która jednakże, przypatrzawszy się jej bardzo uważnie, wydawała się maską, pokrywającą sobą jakby inną jakąś twarz, której pod nią domyślać się tylko było można, ale niepodobna było wyrzec, jaką była owa inna twarz — piękną, czy brzydką, dobrotliwą, czy złośliwą, czy też nijaką? Ubierał się on, jak mówiłem, wytwornie, ale bez pretensyi i przesady; posiadał zawsze świeży frak, świeże surduty, kamizelki i inne części odzienia, cienką bieliznę i zawsze wyświeżony występował na miasto, pogłaskując od czasu do czasu ostrożnie wąsik, który, zakręcony w dwa regularne różki, rysował mu się niby położony horyzontalnie pisarski nawias pod nosem, a pociągający złoty łańcuszek od zegarka, który spływał mu z szyi i zakręcał się na kamizelce, ozdobionej kilku misternemi, a także złotemi brelokami; ale nie obwieszał się, sposobem węgierskim, łańcuchami i kutasami, ani upstrzywał wstążeczkami i piórkami. Był to, jednym słowem, człowiek pod każdym względem porządnym i wytrawnym — nic mu nie brakło, ale też niczego na nim nie było nadto, i przytem z ka-

żdym umiał żyć, wiedział jak do kogo zagadać i kiedy nad wieczorem wszedł do kawiarni, to wszyscy go uprzejmie pozdrawiali i witali, a w każdym domu „Herr von Memlauer“ był zawsze pożądanym gościem.

A tak jak cel jego życia był zagadkowym, tak też i o zamiarach jego na Marijkę nie można było nic bardzo stanowczego powiedzieć. Że był on jej wielbicielem—to najmniejszej nie podpadało wątpliwości, gdyż i często bywał u Sawy i obdarzał jego córkę rozmaitemi specyałami i drobnymi prezencikami — czego względem innych dziewcząt nie robił, i często dawał do zrozumienia, że Marijka mogłaby zrobić piękną karierę, zabłyszczeć na wielkim świecie, zasiąść obok grafek i baronek—czem widocznie starał się zachwiać jej wierność dla Szandora; ale nie wynurzał otwarcie swojej miłości. W jego postępowaniu widnem było jakieś ostrożne zachowanie zdaleka, jakaś systematyczna obmyślność, idąca powoli a wytrwale, skradająca się raczej, ale przytem nie powiadająca, gdzie idzie, ani czego chce, tak, żeby w razie niedojścia do celu, nie narazić się na to, aby powiedziano:

— Memlauerowi nie udało się!..

Po każdej dłuższej z nim rozmowie Marijka czuła się jakoś, jakby—niedobrze—nie na ciele, ale na duszy. Memlauer zwykle, z początku pół-żartem, a potem pół-seryo, rozwijał przed wyobraźnią młodego dziewczęcia rozmaite obrazy życia, i rozwijał je po mistrzowsku, dramatyzując, wspierając przykładami i wzorami, do których Marijka mogła zastosować siebie, ale żadnym sposobem — siebie z Szandorem,

dlatego, że Szandor wyglądał w nich albo brzydko, albo głupio, albo śmiesznie. Biedną dziewczynę nieraz żał przejmował i gniewno się jej robiło, i bolało ją poniewieranie kochanka, a bolało ją tembardziej, że ona sama go poniewierała; bo Memlauer zawsze o Szandorze odzywał się dobrze, a tylko nastrajał wyobraźnię Marijki tak, że ona sama, wykończając sobie, dziewczycym sposobem, rzucone w nią przez Mamlauera szkice dramatycznych obrazów, nie mogła kochankowi dać równej swojej rolę. Memlauer rozpowiadał jej o rozmaitych rzeczach w tym guście, w jakim Wallenrod musiał Aldonie „o Bogu wielkim, o jasnych aniołach“ rozpowiadać i obok tego dawał jej pomarańcze, cukierki, kolczyki, łańcuszki i wsuwał jej niekiedy i książki, i tak oswoił ją z sobą, że stał się jej w końcu potrzebnym; jeżeli nie przyszedł przez parę dni, to go Marijka wyglądała.

Kiedy zapaleni wielbicieli Marijki poodpadali, Memlauer pozostał, dlatego snadź, że nie był zapalonym, a pozostał wierny przyjętemu zwyczajowi noszenia cukierków, pomarańcz i t. d., dawania książek do czytania, rozpowiadania pięknych rzeczy, nie wymówiwszy nigdy wyrazu: „kocham“ i nie dawszy nikomu—ani dziewczynie, ani jej rodzicom—poznać po sobie, że miłość zaroniła się do jego serca. Co to była za miłość, w to wchodzić nie będziemy. Bywa niekiedy, że mężczyzna rozkocha się w pięknej kobiecie dla przyczepienia jej jako ozdobę do siebie; jak np. złota z brylantem spinka wpina się w półkoszulek; — albo też dla pochwalenia się nią, jak dzielnymi końmi i pięknym powozem.

— Co za konie!... co za powóz!... a co za żona!...—powiadają ludzie.

Albo też bywa i tak, że piękna żona staje się pewnym rodzajem wabika, ściągającym urzeczywistnienie tajemnych życzeń męża. A bywa nawet i tak, że w ładnej dziewczynie kocha się bynajmniej nie w celu zrobienia z niej żony, ale obok tego bynajmniej nie platoniczną miłością. Al!... rozmaite są rodzaje, stopnie i odcienia miłości, a jakim z nich kochał pan Leopold Memlauer — w to nie wchodzi my... Przypuśćmy, że pokochał on Marijkę prawdziwie, że jego czterdziesto-kilkolletnie serce zagorzało czystym płomieniem—co nie jest niepodobieństwem— a zrobiwszy to przypuszczenie, przypomnijmy sobie pierwszy rozdział niniejszej powieści, z którego wyraźnie pokazuje się, że jakkolwiek czystą mogła być miłość Mamlauera dla Marijki, miłość tej ostatniej dla Szandora była jeszcze czystsza, bo zwyczajko wyszła z dwuletnich prób, na jakie była wystawiona.

## V.

Na wędrówkę Szandora ogólny tylko a pobieżny zrobimy pogląd. Obszedł on prawie całe państwo austriackie; przeszedł Węgry, Galicyę, Czechy, Austryę, zachodził do Styryi, gdzie sławne kosy robią; pracował w rozmaitych miejscach, z bogacając swój *rejsebuch* pochwalnemi świadectwami różnych majstrów kowalskich; w Wiedniu wbił ćwiek w ten słup, w który każdy przechodzący przez Wiedeń kowal jest obowiązany wbić swój ćwiek; — i wydoskonalił się w swoim fachu, i zebrał sobie kilkadziesiąt reńskich, za które mógł kupić narzędzia i otworzyć kuźnię w Szegiedynie. Pod względem więc fachowym wędrówka powiodła mu się bardzo pomyślnie. Przyniósł on z niej z sobą zapas, z którym śmiało rozpocząć mógł wędrówkę życia pełnego, bo dopełnionego tą drugą połową człowieka, którą słusznie w naszym języku „połowicą“ nazywają. Lecz przyniósł on z sobą i inny, nie fachowy zapas, którego może nie spodziewał się przynieść, a który jednakże bardzo stanowczy od fachowego wywarł wpływ na jego życie.

Powrót Szandora z wędrówki miał miejsce w 1847 roku. Muszę chronologię wprowadzić do

powieści, bo bez niej trudnoby mi było zdać sprawę z podróży wrażeń bohatera naszego. Wymienienie wyraźne roku oswojonego z dziejami nowszych czasów czytelnika naprowadza samo przez się na wywołanie w myśli swojej wspomnienia o tych ruchach umysłowych, jakie objawiły się pomiędzy narodowościami, podległemi austriackiemu berłu. Przemknę się w pamięci jego kilkadziesiąt nazwisk: historyków, badaczy starożytności, filologów, literatów, poetów, których postacie wystąpiły niespodzianie z łona okrytych pleśnią dziejowego zapomnienia plemion, ukołysanych do snu, który przed mniej jak pół-wiekim najprzenikliwszym etnografom wydawał się nieprzespanym. To rozbudzenie się do życia tych, którzy już pogrzebani byli w teoryach książkowych, wielu zdziwiło, niektórych rozgniewało. Pamiętam profesora pewnego, z katedry pewnego niemieckiego uniwersytetu obrzucającego szyderstwem „te mrówki, stające dęba i kiwające łapkami w powietrzu.“ Przykrem bo to jest, gdy jakieś tam nieprzewidziane fakta i fakciki wyrastają nie wiedzieć z kąd i wywracają okryte sankcją poważnego uznania i ulepione, a zalepione ze wszystkich stron teorye, i dla tych faktów i fakcików trzeba psuć stare foremki i komponować nowe. Wykomponować to łatwo. Umysł ludzki jest tak giębkim, że nagnie się on i do sprzecznych faktów i same fakta do starych nagnie teoryj. Pamiętam innego jeszcze uczonego Niemca, który mi różnonarodowość Austrii następującym tłómaczył sposobem:

— Austriya — powiadał — jest różnolistną różą, w której na jednym i tym samym pączku wyrastają

rozmaitego koloru listeczki... I cóż z tego, że listki są odmiennie!... ale jednym jest pączek i wspólnym zapach... Florikultura już doszła do doskonałości zbierania na jednym pączku różnokolorowych listków; florikulturą w swoim rodzaju jest polityka...

I na tem tle uczony mąż dowiódł mi jasno jak na dłoni, że owe ruchy są nienaturalne. Nie będę wchodził w to, czy miał on rację. Dość, że ruchy miały miejsce, a najpierwszemi owocami ich były historyczne, starożytnicze i filologiczne badania, literackie i poetyczne utwory, które dały znać światu, że istnieją Czechi, Morawiaci, Szlązaki, Słowacy, Sławony, Illiryjczyki, Dalmaty, Kroaty, Serby, Madiary, Rumuni i t. d., na tej przestrzeni, na której przez ciąg kilku wieków ozwał się jeden tylko głos narodowy, zanotowany w historii: „*moriamus pro rege nostro!*...” Owoce te składano dzielnie do ogólnych archiwów wiedzy ludzkiej i karbowano je na karbach intelektualnego rozwoju, nie zastanawiając się nad powodami ich. Widziano uczonych, których miano za pewien rodzaj archeologów-amatorów, oddających się studjom i robiących poszukiwania dla z bogacenia archeologicznych muzeów, w tym samym guście, w jakim podobnie studia i poszukiwania robią się na ruinach Palmiry lub Balbeku, miano ich za filologów, należących w pewnej mierze do tego gatunku ludzi, którzy ślęczą nad sanskrytem lub nad odczytaniem hieroglifów. I pozornie sądząc o rzeczy — tak było rzeczywiście... Niektórzy mieli — i dotychczas jeszcze mają — uczonych, literatów i poetów za przyczyny owych fermentacyj w Austrii, za podżegaczy. Nie!... oni byli wynikami. Fermentacje

czuć się dały przed nimi, wzięły się nie wiedzieć zkąd, jakby jaki wiatr nawiał na Austrię nieprzyjazny, których nałykawszy się, Serb poczul czuć się i uznawać Serbem, Kroat—Kroatem, Madiar—Madiarem i t. d.

Nasz Szandor, póki był w Szegiedynie, nie czuł i nie rozumiał tego, co się w Węgrzech działo, pomimo, że Szegiedyn był jednym z ognisk madiarszczyzny. Najtrudniej to jest rozpoznać się w swoim własnym gnieździe. Człowiek przywyka do pewnej jednakowości, która zdaje się mu niezmienną i powszednie, gdy toż samo, na innem miejscu widziane lub słyszane, wydaje się nowem i zajmującym. Przytem, jak dom Simicza był na ustroniu, tak też cała rodzina starego huzara, a z nią i Szandor, zdaleka tylko i półuchem przypatrywali się i przysłuchiwali temu, co się robiło i mówiło w mieście, a oddanie się pracy zajmowało całkowicie ich umysły. Sawa tylko politykował; ale on wszystkie bieżące kwestye, do jakiegokolwiek bądź kategorii nie należące, rozwiązywał po swojemu, to jest, po huzarsku. Gdy zjechała się np. szlachta na wybory *wice-geszpana* <sup>1)</sup> i podzieliwszy się na stronnictwa, napelniła Szegiedyn wrzawą, hałasem, bijatykami i pijatyką, zupełnie tak jak na naszych dawnych sejmikach, to on nie oświadczał się za żadnem stronnictwem, ale radby był stworzyć nowe ze starych huzarów.

— Ej!... gdybyż to tu huzary!... tobym ja pokazał i *Peczowiczom* <sup>2)</sup> i nie-peczowiczom!... — powiadał.

<sup>1)</sup> *Wice-gespan* — administrator komitetowy, którego przed 1848 szlachta wybierała.

<sup>2)</sup> *Peczowiczami* — zwano stronników rządowych, podtrzymujących kandydata od korony.

I na tem kończyło się całe politykowanie pod dachem domu stelmacha, a w tem politykowaniu żaden z domowników nie mógł brać udziału, bo Sawa tak się czuł mocnym na swoim terenie, że nie pozwalał sobie najmniejszych robić uwag. „Niema huzarów!... wszystko się chyli ku upadkowi!...“ takim był ogólny temat rozpraw Simiczowych, które, pomimo, iż przez jego najbliższych nawet uważanemi były jako gderania starego człowieka, nie mniej przeto jednakże rzucały złe światło na rzeczy i sprawy, dziejące się w Szegiedynie.

Lecz jakże w odmiennem świetle te same rzeczy i sprawy przedstawiały się bohaterowi naszemu w Kecskemecie i Peszcie, w Jaszbereniu i Miskolcu, w Kőszycach, Pressowie!... Serce jego odczuwać poczęło wpływ wyrazu: „Madiar,“ pamięć jego łowiła podania, opowieści i rozumowania i systematyzowała je w pewną harmonijną całość w umyśle młodego człowieka; piosnki, okrzyki, nuty odzywały się w nim jak coś oddawna znanego, a drogiego, a zachwycającego; pierś napełniała się jakimś porywającym chceniem, jakąś dumą, jakimś rwaniem się w wyższe sfery, w których pojedyncza jego osobistość topiła się w osobistości całego narodu, a pomimo to cały naród w jednej piersi mieściła. A gdy te wrażenia sprawdził—że tak się wyrażę—poza granicami węgierskiej krainy, w Bernie i Pradze, gdy przeszedł z niemi przez Wiedeń i Grac, gdy wracając, otarł je znów o swoich w Raabie, Komornie, Budzie i Kecskemecie, to powrócił do Szegiedynu Madiarem, poczuwającym się do jakichś nieokreślonych jeszcze obowiązków dla czczego napozór wyrazu. Stało się

z nim wedle przysłowia: „natura wilka ciągnie do lasu.“ Chociaż ni przykłady, ni nauki domowe, ani rzemieślnicze wychowanie nie wpoily weń od dzieciństwa idei madiarskiej, ale idea ta sama się w niego wcieliła, gdy przechodząc przez rozliczne miejsca, zrobił przegląd narodowości, które pod rozmaitemi przedstawiały się mu postaciami, w agitacjach, to jako wrzaskliwe gawędy, to jako ciche szeptańca, to jako tryumfujące powodzenie, i przytem — wszędzie, w gospodach i warsztatach rzemieślniczych, po wsiach i miastach, w kościołach i karczmach, publicznie i prywatnie. Tu słyszał Madiarów, tam Słowian, ówdzie Niemców i widział ich zgrupowanych pod swojemi sztandarami. A wiedzieć należy, że w owych czasach, w Węgrzech szczególnie, które odrębną miały konstytucyę, agitacye na polu pisanych i ustnych dyskusyj odbywały się otwarcie. Rząd zcentralizowany w Wiedniu, miał w kraju wpływ, ale wpływ pośredni, bo wszystkie urzędy obsadzone były przez krajowców, którzy sami brali udział w ruchach umysłowych. Stał przeto nasz Szandor przy sztandarze madiarskim, i stanął z postanowieniem bronięcia go w potrzebie.

Ponieważ bohater nasz, mając w najpiękniejszych latach młodości swojej do czynienia z kowadłem i młotem, nie miał czasu wykształcić umysłu literaturą, chociażby pobieżną, i nadać mu przez to gibkości, usposabiającej do sztucznego kombinowania myśli i do tłumaczenia onych wyrazami, nie umiał przeto zdać sprawy z uczuć i wrażeń swoich. Jest to wspólnem wszystkim niepiśmiennym ludziom. Nie posiadają oni wyrazów do ubrania w nie myśli

swoich i dlatego myśl pozostaje u nich w stanie uczucia. I Szandor czuł głęboko, kochał silnie—ale co czuł i co kochał, o tem on dobrze sam nie wiedział. Tylko, ile razy zadrżała w sercu jego struna miłości, to zawsze w dźwięku jej słyszał nazwisko kochanki, a kiedy go to kochanie podnosiło i niejako uszlachetniało, to on podnosił wraz z sobą i uszlachetniał i Marijkę. Nie roił on przecież, nie tworzył obrazów przyszłości — do tego nawet czasu mu brakło; ale jakoś wyraźniej czuł się człowiekiem, i rad był, że tem człowieczeństwem podzieli się z kochanką. I dziwna rzecz! — wówczas, kiedy dziewczyna w obrazach, nasuwanych przez Memlauera, nie mogła dla niego miejsca znaleźć, on miał dla niej zawsze miejsce obok siebie, blizkie, serdeczne; on był Madiarem, ona była — żoną Madiara, bo Madiarką nie mógł jej nazywać...

— To od niej zależy — myślał sobie — byle mnie kochała, jak ja ją kocham!...

I, jak wiemy, nie zawiódł się. Przyszedłszy, zastał wszystko jak życzył i spodziewał się, a rozgościwszy się i odpocząwszy przez kilka dni, zabierał się do zaopatrzenia w narzędzia i do upatrzenia sobie kuźni lub miejsca na kuźnię, ale mu Sawa powiedział stanowczo:

— Nie trzeba!... pomyślmy o tem, jak da Pan Bóg doczekać na wiosnę.

— To stanę u kowala, jako czeladnik — mówił Szandor.

— Nie trzeba—była znów odpowiedź Sawy.

— Czyż mam siedzieć z założonemi rękoma?

— A dlaczegoż masz siedzieć!... Chodź pó

Szegiedynie... Szegiedyn przecie miasto nie małe, jest gdzie pochodzić!... Baw się!... Używaj świata!... Przyniosłeś tam z sobą trochę grosza, strać wszystko!...

— Aj! — przerwał Szandor — mógłbym pomyśleć, że wy naprawdę mówicie!...

— Alboż, co ty myślisz, że ja żartuję?... Nie!... nie!... Ja nie żartuję... Użyj świata teraz!... wyszum się!... Bo widzisz, ty masz wziąć moją córkę... to, jeżeli nie wyszumisz się teraz, może ci przyjść ochota szumieć, jak będziesz mężem Marijki... A jabym tego nie chciał...

— Ależ mnie nigdy nie przyjdzie ochota—tłómaczył się Szandor.

— Musi przyjść!...—krzyknął Sawa.—Wiem ja, co to być młodym... Oho!... szumiał i ja!... A zresztą... zobaczymy... co to ty za ptaszek!... Przy robocie, to nie można dobrze rozpoznać człowieka, a szczególnie przy kowalskiej... Stuka młotem i stuka, grzeje i znów stuka... Ale bez roboty, nie może być, żeby ciebie nie zaświerbiało!... Posłuchaj-no mnie starego!... już ja wiem, co mówię.

Nie było sposobu nie posłuchać, Szandor musiał próżnować.

Próżniactwo jednakże nie zrobiło próżni w życiu naszego bohatera, zapelnily je bowiem rozmaite przedmioty takie, po których nie spodziewał się, aby zapelnić mogły czas nic nierobiącego człowieka. Część dnia schodziła mu na gawędzie z Sawą, który rozpytywał się go o wypadki podróży, a gdy Szandor począł coś opowiadać, stary przerywał mu i opowiadał swoje huzarskie przygody. Część dnia schodziła na rozmowach z Marijką, na tych, wiecie, nieprzega-



danych rozmowach, w których się nic nie gada, ale wiele się mówi; a jeżeli przy nich trafiła się Anna, to Szandor rozповідаł o wędrownicy swojej, o krajach i ludziach, które widział, i kończył tem, że nie masz pod słońcem kraju, jak *Magyar-orszag*, ani człowieka, jak *Magyar-ember*<sup>1)</sup>, i że temu ostatniemu tylko jeden chyba *Lengyel* (Lendiel: Polak) się zrówna, a zresztą nikt. Anna słuchała to i potwierdzała; bo Anna, zapomniałem o tem na swoim miejscu powiedzieć, była Madiarką. Marijka wypytywała się o miasta, o wielki świat, biorąc pytania z treści memlauerowskich obrazów; ale Szandor nie umiał na to odpowiadać, a często nawet nie rozumiał zapytania. Dziewczyna spuszczała główkę i milczała i smutniała. Bywał przy tych rozmowach niekiedy i Memlauer. Stawił się on zawsze z pomarańczami lub cukierkami i przybierał rolę słuchacza, wtrącającego nieznać swoje słówko, którem potrącał biednego Szandora. Szandor jednakże nie gasł przy Memlauerze dlatego, że podnosił się jako Madiar; kiedy w toku rozmowy przyszło mu wynurzyć swoje narodowe uczucie, wówczas, niby w natchnieniu, takim strzelił płomieniem myśli, że w świetle promienia tego on stawał się wielkim, pięknym i potężnym, a Memlauer małał do rozmiarów mopsa, poszczekującego cichym i cienkim głosem; a Marijce serce skakało z radości, topniało z rozkoszy, zapominała o wielkim świecie, o świetnej karyerze, o cudnych obrazach, jej

<sup>1)</sup> Magyar-orszag (czytaj Madiar orsag — madiarska kraina; Magyar-ember — madiarski człowiek; — tak Węgrzy kraj swój i siebie nazywają.

świat, karyera i obrazy zesrodkowały się w błyszczącym oku kochanka. Memlauer potakiwał Szandorowi, starając się jednakże czasem obrócić w śmieszność jego uczucie.

— Wiesz, Szandor, co doktor Hrebenda powiada!... — zapytał razu pewnego.

— Nie wiem — odparł Szandor.

— On utrzymuje, że trzy są rzeczy najlepsze na świecie, a to: madiarski *bor* (wino), madiarski *do-han* (tytoń) i madiarska *salona* (słonina), i trzech jest ludzi najrozumniejszych na świecie, a to: jeden Hrebenda, drugi Hrebenda i trzeci Hrebenda... Czy nie jesteś ty jednym z Hrebendów?..

Szandor ścisnął ramionami i nic nie odpowiadał na podobnego rodzaju wycieczki i nie gniewał się na nie, bo gniewać się nie miał za co, a odpowiedzieć nie miał co. Pomiędzy nim jednakże a Memlauerem toczyła się walka, której Szandor ani domyślał się nawet i w której z tego powodu Memlauer miał całą przewagę obmyślności. O małą na pozór temu ostatniemu chodziło rzecz: o wydarciu nieokrzesanemu kowalowi biednego serca, serca dziewczęcego... Zobaczmy, czy mu się to uda...

Resztę dnia, zbywającą od pogadanek z Sawą i rozmów z Marijką, przepędzał Szandor na mieście, przesiadując to po kuźniach, to na gospodach kowalskich, to po karczmach, lub wólcząc się po ulicach i zachodząc do znajomych, i nie opuszczając nigdy, rozumie się, czardasza, ile razy taki mu się nadarzył. I czas mu nadspodziewanie szybko i dobrze upływał.

Tak ubiegła jesień, ubiegła zima i przyszła wio-

zna, a z wiosną do cichego i spokojnego Szegiedynu zawitało takie życie, jakiego starzy ludzie nie przewidywali, a młodzi nie spodziewali się.

Szandor w wędrowce swojej jakby usposobił się do powitania tej wiosny i tego życia, a jednakże, gdy przyszły, nie wiedział zrazu, co to się stało i nieprędko, we trzy dopiero miesiące po pierwszych wypadkach rozpoznał, że chodzi o to, aby Madiary byli górą i pomyślał sobie:

— A!... jeżeli o to chodzi, to...

I zaciął się w myśli, bo zaskoczyła mu niejako Marijka, a za Marijką nasuwali się: Sawa, Anna, Łuka i w zawieszeniu zatrzymali postanowienie, o którym nie wiedział jeszcze Szandor, jakim ono ma być.

A tymczasem koło niego burza ludzka huczała i szumiała z łomotem i traskiem, niby pożar, który, wszczęty w jednym punkcie, rozszerza się i ogarnia coraz dalej i dalej. Ogarnął on, jak wiemy, i Węgry i zapalił w nich wszystko, czego tylko płomień cześcić się mógł.

W początkowych swoich objawach rewolucya węgierska wystąpiła legalnie. Węgrzy żądali pewnych zmian i poprawek w konstytucyi, którą posiadali, i spór toczył się na drodze kompromisu pomiędzy nimi a Austryą, kompromisu, który nie wróżył wojny w rezultacie. Zdawało się, że cała rzecz załatwi się pomiędzy sejmem i królem, sejmem węgierskim i królem węgierskim, i sporne punkta przechodziły jeden po drugim, uzyskując sankcyę królewską. Lecz sejm reprezentował Węgry całe takie, jakimi je widzimy na mapie, opierające się niby stopą jedną o Adryatyk, oprysowując kształty zewnętrzne swojej geograficznej

postaci Sawą, Dunajem i Karpatami, i reprezentował przytem przewagę jednego madiarskiego żywiołu. Ustępstwa przeto, czynione sejmowi, miały pozór przywilejowania Madiarów. A Węgry nie samych tylko Madiarów są ojczyzną.

— Kiedy Madiary upominają się o siebie, to i my się upominajmy o siebie!... — gruchnęło hasłem pomiędzy Słowianami południowymi.

A echo odwtórzyło im wiernie to hasło i konając, dodało:

— Upominajcie się!... to i Madiary nic nie dostaną i wy nic nie dostaniecie!...

Ale podunajscy Słowianie nie słyszeli tego, bo burza grzmiała i huczała, przynosząc się kolejno w rozmaite miejsca i roznosząc po świecie okrzyki, pomiędzy którymi zabrzmiał okrzyk podunajski:

— Precz z Madiarami!...

I powstałi Słowianie przeciwko sejmowi węgierskiemu i przeciwko królowi węgierskiemu.

Tak się obiecywały początkowe fakta węgierskiego poruszenia, powieściowym opowiedziane sposobem; nie dziw, że Szandor dopatrzył w nich, iż chodzi o to, aby Madiary byli górą. Wojska poszły poskramiać poddanych węgierskich w imię króla węgierskiego.

Była to więc wojna domowa, która żywo zainteresowała wszystkich mieszkańców Węgier, i tem żywiej, im którzy z nich bliżej teatru jej znajdowali się. Szegedyn był jednym z miast, do którego najbezpośredniejsze wieści dochodziły, a nigdzie, po wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach o niczem nie mówiono, niczem innem się nie zajmowano, tylko

bieżącymi wypadkami. Ludność węgierska pogrupowała się kupkami pod dwoma sztandarami: słowiańskim i węgierskim. W którym miejscu przemagałi liczbą Słowianie, tam oni byli góra, w którym Madiary — tam Madiary <sup>1)</sup>. Biała-Cerkiew, Pańczowa, oświadczyły się za Słowianami, Szegiedyn — przeciwko nim.

Szegiedyn, niby w kwiaty, w narodowe węgierskie ustroił się kolory. Na każdym domu powiewał trójbarwny czerwono-biało-zielony sztandar, a w niektórych w każdym oknie wywieszoną była pomniejsza chorągiewka. Po ulicach rozlegały się śpiewy, grzmiały muzyki, w których nutą przemagającą i górującą ponad wszystkie była nuta Rakoczego, poważna i bojowa, a śpiewna, a porywająca.

Na ustronnym domku Simicza powiewał także sztandar węgierski, i Sawa, zdawało się, jakby odmłodził. Podobały się mu to życie i ten ruch, i te, chociaż zdaleka dochodzące go odgłosy bojowe. Nie wiele go obchodziło, o co tam się biją, dość, że biją się. Po sto razy tylko na dzień powtarzał:

— Ej!... niema huzarów!...

A czyją on stronę trzymał, z tego nie łatwoby mu się przyszło wytłómaczyć. Wywiesili wszyscy trójbarwne sztandary, to i on wywiesił, albo raczej nie on, lecz Szandor. Marijka uszyła ogromną chorągiew, Szandor ostrugał drzewco, przyrzadził i utwierdził ją na wrotach.

<sup>1)</sup> Nie pisząc historii, nie wyszczególniam, że spótcześnie ze Słowianami południowymi poruszili się Wołochy siedmiogrodzkie, ani że cztery miliony Słowaków od początku do końca trzymały z Madziarami!

Niczyje jednakże mieszkanie nie było ozdobione z takim, pod względem patryotyczno-węgierskim zbytkiem, jak Memlauera. Mieszkanie to składało się z domu w mieście nad Cisą, obróconego frontem ku rzece, a tyłem na podwórko, przylegające do ulicy. Dom był niewielki, o pięciu pokojach, dobrze i z gustem umeblowanych. Wznosił się on z przodu na podmurowaniu, na którym opierał się mały balkonik, otoczony drewnianą balustradą. Wchodziło się do tego domu przez podwórze, na którym znajdowały się stajnia i wozownia. Przed frontem przechodziła ulica, skutkiem czego widzianym on był z dwóch ulic i z obydwóch na domie i przed domem widziano chorągwie i chorągiewki powiewające na wrotach, na stajni, na ganku, na dachu, w oknach i na balkonie. Była to w całym Szegiedynie najdosadniejsza wystawa patryotyzmu, okazywanego przez Memlauera z pewną oznaką rozmiłowania, bo widziano go często siedzącego na balkonie pod przysłoną sztandaru węgierskiego, z uśmiechem zadowolenia na ustach.

Tym wirem życia porwany czas szybko ubiegał mieszkańcom Szegiedynu. Dnie, tygodnie, miesiące mknęły błyskawicznym sposobem. Wiosna przeminęła, lato biegło ku końcowi, a życie się wzma-gało, jakby coraz nowe siły czerpało w jakimś niewyczerpanem źródle. Nikt nie pytał się, kiedy temu będzie koniec?... Nikt nie pytał się nawet, jaki będzie koniec?... A wszystkie powszednie, bieżące sprawy i interesa zostały zawieszzone, bo każdy wyglądał jakiegoś końca. Wszyscy żyli jutrem, ale nie tem jutrem pracy, co to skrętnie, zapobiegliwie, mrówczym sposobem używa „dziś“, lecz jutrem oczekiwania, na-

dziei, przywidzeń, przypuszczeń. Zawieszonem zostało i wesele Szandora. Kto je zawiesił? Nikt... Zawiesiło się samo... Ot, krótko powiedziawszy, nie było czasu, ani komu myśleć o weselu; tak Sawa i Anna, Szandor i Marijka, i nawet spokojny Łuka zajęli się czem innym...

Jakoż na początku jesieni, w czasie niezwykłym, wyprzedzając coroczny termin o cały miesiąc, zjawił się w Szegiedynie Janko.

— O!... — zawołał Sawa, ujrawszy starszego syna, i zaklął.—Przychodzisz zapewne na wesele; a ja o weselu przypomniałem sobie dopiero, jakem ciebie zobaczył!... Pośpieszyłeś się, Janko... Jeszcze nic nie przygotowano...

— Nie troszczcie się o przygotowania, ojcie — odparł Janko.—Przygotujemy wesele, jakiego od początku świata nie było... I będziemy tańczyć, ale nie wszyscy wesoło...

— *Bassam teren tischen!*... — zawołał Sawa, nie rozumiejąc przenośni, pod którą syn mówił, i chcąc odpowiedzieć jakimś takim ogólnikiem, któryby do wszystkiego się stosował.

Janko nic na ten wykrzyknik starego ojca nie odpowiedział. Odpoczął on przez parę godzin w domu, gawędził z domownikami o rzeczach obojętnych i nad wieczorem wyszedł na miasto i zachodził do kilku domów. Zachodzenia te jego miały pozór prostych odwiedzin. Gdzie przyszedł, to posiedział, pogadał i odszedł. A że w każdym miejscu zabawił przynajmniej pół godziny, przeto zeszedł mu na odwiedzinach czas do późnego wieczora, do nocy prawie,

i było już zupełnie ciemno, kiedy on udał się do Memlaura.

Memlauer był u siebie. W całym domu jego, w jednym tylko pokoju jedna paliła się świeca i nie rzucała blasku na zewnątrz dlatego, że wszystkie okienice, zamykające się ze środka, były starannie pozamykane. Pokój, w którym paliła się świeca, był quasi-bawialnym, służył bowiem zwykle do przyjmowania gości i stosownie do przeznaczenia tego był umeblowanym. Memlauer, w szlafroku, w pantoflach i w tej charakterystycznej, aksamitnej, ozdobionej drobnym złotym szlaczkiem i kutasikiem niemieckiej czapeczce, której nazwać nie mogę, bo bardzo brzydko się nazywa, chodził po pokoju powoli z założonemi na tył rękami i zdawało się, jakoby na kogoś oczekiwał, gdyż często na zasłyszany szmer zatrzymywał się i na drzwi wchodowe spoglądał. Nie było jednakże widać po nim niecierpliwości oczekiwania. Przechadzał się spokojnie, powolnie, zatrzymując się niekiedy przed stolikiem dla objaśnienia świecy, która była łojową i niezbyt jasnym gorzała płomieniem. Właśnie objaśniał Memlauer świecę, kiedy wszedł Janko.

— *Kako si?* (jak się masz)—rzekł Memlauer do wchodzącego, pozdrawiając go po serbsku.

— *Fala Bogu* (chwała Bogu)—odrzekł Janko.

— *Usiądź-że!* — powiedział Memlauer, ukazując mu na krzesło obok stołu, a sam wyszedł do sieni i słyhać było jak zamknął drzwi od nadworu i zasunął je na zasuwkę.

— No, i jakże!... — rzekł wracając i zamykając za sobą drzwi od pokoju — spóźniłeś się... Wyglądałem ciebie pozawczora i wczora...

— Nie mogłem pośpieszyć — odpowiedział Janko. — W kilku miejscach musiałem dłużej się zatrzymać, bo nie wszędzie wszystkich można zastać...

— Ale cóż... idzie dobrze?—przerwał mu Memlauer.

— Idzie — odparł Janko.

— Pali się?...

— Pali....

— I mocno ogień trzeba rozdmuchiwać?...

— Nie bardzo...

— O!... — zawołał Memlauer, zatrzymując się przed Jankiem i wznosząc ręce i oczy do góry—oby Bóg błogosławił wam!...

Postać Memlauera wyrażała modlitewne natchnienie. Janko spojrzał mu w oczy i we wzroku Janka mignęła błyskawica zapału.

— Oby Serbia... cała była wolną!... — ciągnął Memlauer.

— Ale Bóg — dodał po chwili milczenia, rozpoczynając nanowo przerwane, powolne chodzenie — błogosławi tylko tym, którzy pracują, poświęcają się...

— Och!.. — powiedział Janko, westchawszy — z naszej strony nie brak pracy, ani poświęceń i zdaje mi się, że nie zbraknie ich do końca... ale ciężko na nas!... wszystko przeciwko nam... i Madiary... i Austrya...

— Janku — przerwał Memlauer—nie dziwiłbym się, gdyby to mówił ktoś inny, nie ty... Któż ukazał ci tę drogę, którą idziesz?... Z tego możesz miarkować, że pewne powody wysoko polityczne, w które nie wolno wchodzić, nie pozwalają jeszcze otwarcie stanąć po waszej stronie... Bo to, widzisz, wysoka

polityka miewa takie powody, które zdają się ludziom nieprzyjemne, a które są pomimo to przyjemne... Nie trzeba w nie wchodzić... Z czasem przeważy się szala na waszą stronę... Oto trzeba lepiej pracować nad tem, aby na szalę waszą jak najwięcej kłaść ciężarów...

— Ja też w nią nie wchodzę—odrzekł Janko—powiedziałem to tylko dlatego, że mi żal naszych, których tak dużo marnie ginie... Radbym doczekać się prędzej końca...

— To dopiero początek!... Do końca jeszcze daleko... — A zatrzymując się na środku pokoju, zapytał:

— Możesz, Janku, osłabił duchem?... Możesz zwątpił?...

— Nie!... — zawołał Janko. -- Nie!... Kiedym wychodził z Karansebeszu postanowiłem sobie zginąć, jeżeli zginie nasza sprawa!... i dotrzymam!...

— Daj rękę, Janku!... — i uściśnął Memlauer prawicę Janka — takimi powinni być wszyscy Serbowie....

— Są oni takimi — wtrącił Janko.

— Garną się?... jakże z Banatem?...

— Madiary wycinają w pień i palą wsie i miasta nasze....

— A Serby?...

— A Serby wycinają w pień i palą wsie i miasta madiarskie... Tam straszno... okropnie... — mówił Janko, niby sam do siebie — krew i płomień!... trupy i zgliszczą!... oto, co z Banatu zrobiło się...

Janko mówił to ze spuszczoną głową, niby nagiętą jakimś ciężarem i nie widział uśmiechu, który

podczas jego mówienia igrał nieznacznie na ustach Memlaura.

— Cóż zamierzasz, Janku, poczynać w Szegiedynie? — zapytał ten ostatni po długiej chwili milczenia.

— A — odpowiedział zapytany — toć o tem pan masz mi powiedzieć...

— Tu wielkich rzeczy nie można zrobić...

— Nie można... Serbów mało, Wołochów mało, a chociaż i są jacy, to tacy jak mój ojciec, ani Serby, ani Madiary...

— A jednakże nie można obejść się bez twego ojca.

— Bez mego ojca?... — zapytał Janko zdziwiony.

— Tak — odparł Memlauer — bez twego ojca... bo stary Sawa ma powagę i zaufanie.

— Ale do czegoż to posłuży, jeżeli tu nic nie można zrobić!... — rzekł Janko, któremu uczucie synowskie nie pozwalało narażać ojca na niebezpieczeństwo.

— Posłużyć posłuży — odrzekł Memlauer — chodź za mną.

To wymówiwszy, wyprowadził Janka do ciemnego pokoju, którego drzwi zamknął za sobą, i z tego pokoju wyszli obydwaj na balkon. Z balkonu odkrył się przed nimi jeden z tych prześlicznych widoków, które księżyc w pełni na tle nocy malować umie. U stóp ich połyskiwała metalicznym odbłaskiem powierzchnia Cisy, która była w tej chwili spokojną i gładką, jakby siłą zaklęcia jakiegoś ścięcia się w zwierciadlany kryształ, odbijając w nim całe niebo. Księżyc, owalny i chwiejny, wyglądał z głę-

bi toni, a te niebieskie zalotnice — gwiazdy, przegłądały się w wodzie ciekawie i mrugały same do siebie, jak dziewczęta mrugają przed lusterkami. I błyszcząca Cisa długą wstęgą na prawo i na lewo. Na prawo ginęła po za domami miasta, po za drzemiacami murami starego zamczyska; na lewo rozszczała się w widła, ogarniające ramionami swojemi czarną masę wierzbiny i łoziny. A na przeciwnym brzegu rzeki, naprost memlaurowego mieszkania, migły światła, wystawały dachy, wznosząc się jedne wyżej, drugie niżej i wyraźnie przy księżycowem świetle rozpoznać się dawało zarzeczne przedmieście Szegiedynu. Rozlegające się w powietrzu śpiewy i muzyki po obydwóch brzegach rzeki dowodziły, że ludzie nie byli tak spokojnymi, jak natura w tej chwili; niespokojność jednakże ludzka bynajmniej nie przeszkadzała ukołysanej do snu naturze. Cisa płynęła, nie pluskając o strome wybrzeża, księżyc szedł sobie swoją drogą po niebie, gwiazdki mrugały, a widnokrąg tonął w nocnym tumanie.

Memlauer i Janko milczeli przez jakiś czas, rozpatrując się dokoła, jakby w ukorzeniu przed tym majestatem spokoju. W końcu pierwszy odezwał się cichym głosem, chociaż nikogo nie było w pobliżu:

— Słyszysz te śpiewy i muzyki... te okrzyki radości?... to Madiary!...

— Madiary!... — jęknął Janko.

— Patrz-że się, Janku, w tę stronę, ku Maroszy... gdzie kończą się domy przedmieścia. Patrz się i w gęstwinie domów zauważ ten dom, na którego dachu zwiesza się sztandar.

Janko szukał wzrokiem przez chwilę.

- Znalazłeś?—zapytał Memlauer.  
 — Znalazłem—odparł Janko.  
 — Może ty wiesz, co to za budynek?  
 — Nie wiem...  
 — Jest to magazyn zapasów wojskowych...

Tu zatrzymał się Memlauer i po chwili milczenia tak dalej ciągnął:

— Głupie Madiary!... broń, ubiory i ryszunki trzymają razem z prochem...

Znów się zatrzymał i znów dalej mówił:

W lochach pod budynkiem jest prochownia... Jedna iskierka mogłaby cały zapas od razu zniszczyć i połowę przedmieścia w perzynę obrócić...

— Na przedmieściu, a szczególnie dokoła prochowni, same Madiary mieszkają — dodał w końcu Memlauer, po nowym przestanku, który dłużej od dwóch pierwszych się ciągnął i zapytał:

— Rozumiesz?...

— Rozumiem—odparł Janko.

I postawszy jeszcze przez chwilę, powrócili do oświetlonego pokoju. Janko usiadł na dawnym miejscu, a Memlauer rozpoczął powolną przechadzkę swoją i ciągnąc dalej przerwaną na balkonie rozmowę, tak mówił:

— Otóż, widzisz, tego jeden człowiek zrobić nie może... Bo iskrę rzucić łatwo i w ten moment wyskoczyć; ale na cóżby się zdało rzucać ją dziś np., chociażby i zdarzyła się po temu zrzeczność!... Co innego, gdyby wasze wojska zdobywały Szegiedyn, albo, jeśliby Madiary zgromadzili znaczne zapasy... Ale w takim momencie nie dość jednego człowieka... trzeba mieć w pogotowiu kilkunastu, albo kilkudziesięciu

odważnych ludzi, którzyby rzucili się na warty, zdobyli na chwilę magazyn, wysadzili go w powietrze i rzucili tym sposobem pomiędzy Madiarów popłoch, lub wyrządzili im rzeczywistą szkodę... Jeden człowiek przypadkiem tylko może to uskutecznić, a przypadek nie jest na zawołanie...

Janko milczał przez cały czas tej lekcji zniszczenia, słuchając jej ze zwieszoną głową.

— W Szegiedynie — prawil Memlauer — niema ochoczych do podobnego przedsięwzięcia ludzi; ale można w nich wyrobić ochotę... Jedno słowo takiego człowieka jak Sawa Simicz wiele znaczy, a jedno słowo takiego Janka wiele znaczy u Sawy Simicza...

— A pan, panie Memlauer, nie mógłbyś poprowadzić takiej rzeczy?...

— Ja?... — rzekł Memlauer z uśmiechem. — Madiary mają mnie za swego i potrzeba, żeby oni mnie zawsze za takiego mieli... i potrzeba, żeby ani cień podejrzenia na mnie nie padł... Mam ja swój wydział i nie siedzę z założonymi rękami...

— Ależ Sawa nie potrafi, a ja nie mogę pozostać...

— To też potrzebną jest tylko aprobacya Sawy, a pod osłoną tej aprobacyi może robić ktokolwiek, w kim pokładasz ufność... naprzykład Łuka...

— Tak—odparł Janko powolnie—Łuka robi... trzeba mu tylko rozpowiedzieć... Łuka mnie posłucha...—i jakby gnieniony jakimś przecuciem, dodał:

— Biedny Łuka!... Ale tu nicma brata!... albo raczej, tu nie można się wahać!...

Janko był pięknym, gdy to mówił. Śniadawa jego twarz opromieniła się odbiciem zapachu. Ani znać było po nim biuralisty z austriackiego audytoryatu. Memlauer wyprowadził go do sieni i szepnął mu na progu:

— Ale, mój Janku, zapomnij nawet, żeś był u Memlauera...

## VI.

Piękniejszym jeszcze niż u Memlauera, wydał się Janko nazajutrz, kiedy sprosiwszy do mieszkania ojcowskiego kilku Serbów, tych niemal wszystkich, których dnia poprzedniego odwiedził, zaprowadził ich do ogrodu i tam rozwijał przed nimi obrazy tej wojny exterminacyjnej, jaka podówczas toczyła się na południu. Był tam i Sawa i Łuka i Szandor. Ten ostatni usunął się po za koło siedzących na murawie Serbów i słuchał milcząc, i zwiesił smutnie głowę i jakaś boleść wewnętrzna malowała się na jego twarzy, a tem większa, że wierzył on temu, co Janko mówił. Wieści tego rodzaju dochodziły i bez Janka do Szegiedynu, ale w Szegiedynie przerabiały się one na korzystniejsze dla Madiarów niż dla Serbów, jak to zwykle dzieje się z wieściami: każdy tłomaczy je sobie ze swego punktu zapatrywania się na nie. A że w Szegiedynie górą byli Madiary, przeto, według ich mniemania, ich sprawa była lepszą.

Janko opowiadał z powagą naocznego świadka.

— Byłem tam — mówił — i mojami własnymi widziałem oczami.

Opowiadał o mordach. Łzy mu w oczach sta-



nęły i usta mu drżały, kiedy wspominał o starcach, kobietach i dzieciach, konających pod mściwym bagnietem Madiara.

— Niema względu na nic!... — wołał — ani na siwe włosy, ani na niemowlęstwo... Jednych Madiar niszczy dlatego, żeby zatrzeć do szczytu wszelką przeszłość naszą, żeby nie było komu o niej wspominać; drugich dlatego, żeby odebrać nam nadzieję przyszłości. Piszą w książkach, że Turcy oszczędzali dzieci chrześcijańskie i robili z nich janczarów... Turcy litościwsi byli od Madiara... Madiar nie chce Serbów nawet na nasienie zostawić!...

Sawa chrząknął i chciał coś powiedzieć, lecz Janko mówił dalej, a Sawa pokręcił tylko wąs.

Opowiadał o pożogach.

— Na banackich stepach rzadko gdzie pozostały wsie i miasta... Madiar je rozwała i pali... Idąc z Szegiedynu do Pańczowy, przechodzić potrzeba po zgliszczach, a powietrze napełnia smród pogorzeli... Banat zamienił Madiar na gruzy i rumowiska...

— Niech będzie Madiar przeklętym!... — mruknął jeden ze słuchaczy.

Kłatwę powtórzyli wszyscy obecni, wyjąwszy Szandora. Janko zamilkł i poprowadził wzrokiem po słuchaczach. Na twarzach ich malował się dziki, ponury zapał.

Sawa, korzystając z milczenia, zaklął po węgiersku i powiedział po serbsku:

— E!... co wojna, to wojna... Gdzie wojują, tam zabijają i palą... Bez tego być nie może... Pamiętam z Francuzem kiedyśmy wojowali.. o!... to...

— Ależ, ojczu! — przerwał Janko — czyście zabijali dzieci, starców i kobiety?

— Nie!... oh!... nie — odparł Sawa...

— A Madiar morduje dzieci, starców i kobiety!... Cóżbyś na to powiedział, ojczu, gdyby ci kto pomordował żonę, córkę i synów, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi!...

— Poćwiertowałbym go własnymi rękami! — krzyknął Sawa — jeżeli Madiary mordują Serbom dzieci i żony, to czemuż Serby nie mordują Madiarom?...

— Nie oszczędzają Serby Madiarów — odparł Janko — płoną i madiarskie wsie i miasta i madiarskie trupy walają się bez pogrzebu... Ale ich jest większa siła... Oni nas przemagają, a to dlatego, że nie każdy serb robi co powinien teraz robić, że wielu siedzi z założonemi rękami i przypatruje się spokojnie, jak Madiar znęca się nad rodzonymi braćmi...

Opowiadanie Janka miało ten skutek, iż oburzyło słuchaczy i rozbudziło w ich sercach uczucie zemsty — uczucie bardzo łatwe do rozbudzenia. Zemsta jest niby palny materiał, złożony w piersi człowieka. Rzuć nań iskrę, a natychmiast buchnie płomieniem. Opowiadanie Janka było właśnie tą iskrą. Wywarło ono jeszcze i inny skutek, zrodziło pewien rodzaj wyrzutów sumienia. Jeden tedy ze słuchaczy odezwał się:

— O! kiedy tak, to niema po co siedzieć w Szegiedynie... Gdyby tu naszych było więcej, to należałoby wystać część tam, gdzie się biją; ale że

jest mało, to trzeba wszystkim pozostać na miejscu i tu służyć naszej sprawie...

— A jakże tu służyć?... cóż tu robić? — zapytał się któryś.

— Co robić!... — odpowiedział Janko — a oto, gdyby np. prochownię i magazyny wysadzić w powietrze...

Na te słowa Szandor wstał i wyszedł z ogrodu.

Nie będę opisywał dalszego ciągu tego posiedzenia. Dodam tylko, że rozpoczęło się ono jako prosta gawęda, a zakończyło się jako spiskowa narada, której obecność starego Sawy nadała poważne znaczenie. Udział jednakże Sawy był bardzo bierny, nawet nieco oporny; ale skrupuły jego usunął Janko, przedstawivszy i wytłomaczywszy, że wojna nie na tem jedynie zależy, aby w otwartym polu stawić czoło nieprzyjacielowi, ale i na tem także, aby walczyć z nim podstępami, aby mu szkodzić wszędzie, gdzie można.

— Nie gadałbyś tak, Janku — rzekł Sawa — gdybyś był w huzarach; ale może to i prawda...

I nie można z pewnością twierdzić, że stary został przekonany. Ale Jankowi nie chodziło nawet o to. On dopiął swego, pozyskawszy dla zamysłów swoich kilku zdeterminowanych na wszystko ludzi, którzy uroczystą przysięgą zobowiązali się prowadzić w Szegiedynie tajemną z Madiarami walkę i stać jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego. On dopiął swego pomyślniej niż spodziewał się, bo znalazł entuzjizm poręczający za wykonanie. Dla większej połowy obecnych tam Serbów odkrył się świat taki sam, jaki w wędrownie odkrył się dla

Szandora. Jak ten ostatni Madiarem, tak oni poczuli się Serbami. Odezwała się w nich struna narodo-wa, tylko u jednej słabiej, a u drugiej mocniej naciągnięta, a dająca się w nadzwyczajnej chwili lub potrzebie jednakowo u wszystkich naciągnąć. Odezwała się ona bardzo silnie u Łuki i tem silniej, że na niego spadł zaszczyt przewodniczenia. Poczciwy Łuka ani domyślał się przed tem, że okrom obowiązków, które on tak dobrze i szczerze spełniał, są jeszcze inne, które należy jeszcze lepiej i szczerzej pełnić. Znalazłszy się jednakże wobec obowiązków tych, znalazł w sercu swoim potrzebną do nich gotowość i odwagę.

Janko i Łuka, chociaż rodzonymi braćmi byli, różnili się jednakże pod wielu pomiędzy sobą względami, a naprzód pod względem powierzchowności. Pierwszy był brunet, suchy, kościsty, ostrych rysów twarzy, znamionujących energię, przedsiębiorczość i wielki zapas gorących namiętności; drugi był blondyn, pogodnego oblicza, wyglądający na flegmatyka, niepochoptego do silnych wrażeń. Lecz flegmatyczni ludzie mają to do siebie, iż raz przyswoiwszy sobie wrażenia chociażby najsilniejsze, biorą je na seryo i pod ich wpływem wytrwają do końca, chociażby ten koniec był z góry przewidzianem niepowodzeniem. Takim właśnie był Łuka. Janko zapewne znał brata z tej strony i ucieszył się jego gotowością.

— To tak, bracia — ciągnął przemowę, której początku nie powtarzam — ja nie mogę z wami pozostać, bo mam wiele, wiele rzeczy gdzieinąd do robienia, ale będę od czasu do czasu zaglądał do

Szegiedynu... Postępujcie cicho a zgodnie, wytrwale a ostrożnie... Uważajcie co Madiary robią, ile wojska i jakiego przychodzi do Szegiedynu, po co przychodzi, gdzie odchodzi i co ważniejszego spostrzeżenie, dawajcie znać natychmiast do najbliższej serbskiej komendy... I miejcie na oku prochownię... Ale... iluż was jest?...

I począł Janko liczyć:

— Jeden, dwóch, trzech i naliczył dwunastu.

— Dobrze, że nie trzynastu — rzekł półzartem — bo jeden zostałby Judaszem.

— Byłoby trzynastu — zauważał Sawa — gdyby Szandor doszedł był do końca... On uciekł, jakies zaczął chwalić Madiarów...

— Prawda! — zawołał Janko — to Madiar... On gotów zdradzić!...

— A!... — przerwał Sawa.

— On i nie słyszał wszystkiego — rzekł Łuka.

— Kiedyż on odszedł? — zapytał Janko — na początku, czy przy końcu?...

— Jakoś pośrodku — rzekł któryś z obecnych — ale on nie słyszał...

— Nie słyszał — podchwycił Sawa. — Ale choćby i słyszał, to nie wydałby nas — powiedział stary, kładąc przycisk dobitny na wyrazie „nas“

Szandor jednakże, jak wiemy, usłyszał najważniejsze. Powiedzenie Janka: „prochownię i magazyny wysadzić w powietrze,“ niby mina wysadziła go z miejsca, na którym siedział. Zerwał się i wybiegł z ogrodu i wypadł na ulicę. Kiedy przechodził mimo tego okna, przed którym rósł krzak różany, w jedną z jego szyb szybkim pukaniem zabębnił paluszek

Marijki. Szandor nie obejrzał się, nie zatrzymał, bo nie słyszał pukania. Jemu w uszach bębniło to, co powiedział Janko; jemu serce pukało, jakby rozbić się chciało o deskę piersiową; a pierś jego wzdęła się, jakby rozsadzić się miała zapaloną w niej miną. Zatrzymał się Szandor na ulicy przed wrotami Simicza, ale tylko na chwilę: — zwrócił się w prawo, wybiegł w pole i szedł szybko, biegł prawie, jakby przed czemś uciekał, i jak w podobnych razach zwykle się dzieje, szedł bez celu, sunął krajem kukurydzianych pól, przeszedł wpoprzek trakt Kieczkiemecki i szedł. Gdyby kto zapytał go, czy on co widział, lub, czy czuł ziemię pod sobą, z pewnością nie umiałby ani na jedno, ani na drugie zapytanie odpowiedzieć. Z nim na jawie działo się tak jak we śnie, kiedy przyśni się człowiekowi, że leci, leci i zatrzymać się nie może, aż się nagle obudzi. Szandor obudził się, zatrzymany jakimś słupem, czy murem, który jakby z ziemi wyrósł i zastąpił mu drogę. Zatrzymał się Szandor, spojrział i zażrzał. Mrowie trwogi przebiegło mu po ciele. Przed nim stała szubienica.

Z pewną wymyślnością architektoniczną zbudowana jest szegiedyńska szubienica. Wznosi się ona na dwóch murowanych słupach, ozdobionych gzemkami u góry i podpierających sobą także murowaną i ozdobioną sztukaterią poprzecznice. Mur jest zczerniał. Widać, że stoi on oddawna i nikt nie otrzepuje go z kurzu, którym go wieki przykryły, a który zanoszą wiatr z kieczkiemeckiego traktu. Trzy grube żelazne haki, przybite z dołu do poprzecznicy, pokryła rdza brudno-czerwonym kolorem, niby barwą krwi zapiekłej.

Widok szubienicy orzeźwił Szandora, ale w dziwnie smutny orzeźwił sposób, w taki, jakby ktoś w znużeniu, zamiast źródlanej czystej wody, napił się trucizny. Mimowolnie wzrok jego zawiesił się na haku i robiło się mu straszno, coraz straszniej.— Jakieś ponure a nieznane przecucie napełniło mu serce. Budziła w nim szubienica wstręt, a nie mógł od niej wzroku oderwać. Widywał on ją nieraz, ale zawsze zdaleka; nigdy jeszcze w życiu nie stał tak blisko niej i byłby może stał dłużej, gdyby chrząknięcie ludzkie nie zwróciło na siebie uwagi jego. Obejrzał się i ujrzał człowieka, który stał w furcie domu kata i przypatrywał mu się w milczeniu. Bohater nasz, jeżeli nie poznał, to odrazu domyślił się, co to był za człowiek i jakimś uczuciem wstydu, jakby ujętym został na gorącym a złym uczynku, zdrząło jego serce i natychmiast zwrócił się i szybko puścił ku miastu.

Wieczerało już, kiedy Szandor znalazł się na ulicach Szegiedynu, dążąc ku środkowi miasta, ku rynkowi, dokąd ciągnęły go tony muzyki, rozlewające się po powietrzu nutą Rakoczego. Rynek napełniony był ludem, otaczającym muzykantów. Ten sam cygan, którego widzieliśmy w dniu powrotu Szandora z wędrówki, przewodniczył orkiestrze. Szandor przecisnął się przez tłum i stanął naprzeciwko cygana, który ujrawszy go, kiwnął głową niby na przywitanie i szczerzej przyłożył się do smyczka. Wsluchując się w muzykę, Szandorowi robiło się rzewnie, łzawo i przytem tak, jakby rósł, jakby go coś podnosiło, jakby ten Rakoczy napawał go chluba, dumą. Ktoś z tłumu krzyknął „*alien a Madiar!*“

i Szandor porwał czapkę z głowy, podniósł ją do góry, potrząsnął w powietrzu i powtórzył okrzyk, który podchwycony przez wszystkich znajdujących się na rynku, zabrzmiał grzmotnem:

— *Elien a Madiar!*

Ten okrzyk zwał odrazu cały smutek z serca Szandora. Cygan uśmiechał się do niego, kiwając głową na potwierdzenie i grając dalej a coraz dosadniej, jakby dla wywołania nowych okrzyków, jakby na prym zapalowi, który ogarnął słuchaczów. Szandor odśmiecchnął się do cygana takim uśmiechem jak ten, co po płaczu następuje, od którego piersi podnoszą się, ale nie łkaniem już, lecz radością.

Dziwnem jest serce ludzkie!... Trudno je zrozumieć... Niechby kto wytłomaczył, czego się Szandor zasmucił smutkiem rozpaczy?... dlaczego rozradował się uniesieniem radości?... Możliwyby wprawdzie, odpowiadając tak, aby zbyć byle czem zapytanie, odpowiedzieć, że zasmucił go Janko, a rozradował Rakoczy. Janko jednakże i Rakoczy byli tylko dwoma upostaciowaniami (że tak powiem) dwóch przeciwnych sobie powodów, które walczyły w sercu naszego bohatera i walczyły dlatego właśnie, iż zbiegły się w sercu takim, jak Szandora. Kto inny obojętnieby wysłuchał opowiadań Janka i tonów Rakoczego, albo jednakowo bawiłby się jednemi i drugimi, albo zająłby się pierwszemi, a zobojętniał dla drugich. Ale ten „kto inny,“ nie kochałby madiarskiej krainy, jak ją Szandor ukochał; a takie kochanie nie rozumie, a jeżeli je koniecznie wyciągniesz na rozumowanie, to na wszystko, cobyś mu powiedział, odpowie ci tak: chociażby ojczyzna moja była najgorsza,

najpodlejszą, najnikczemniejszą, ale jest moją i jest dla mnie najlepszą, najszlachetniejszą, najzaczniejszą dlatego samego, że nie mam i mieć nie mogę innej.“ Jest w tem trochę racyi. Człowiek do wszystkiego „swego“ ma jakoweś wrodzone przywiązanie, które gdy mu odejmiesz, traci naprzód szacunek dla samego siebie, a następnie dla wszystkich i wszystkiego, i szacunek ten siebie i innych zastępuje egoizmem, tem uczuciem, które budzi charakter, poniża naturę człowieka.

Szandor pozostał długo na rynku i ochłonawszy z pierwszego zapału, począł przysłuchiwać się, co mówiono w tłumie i zastanawiać się nad powodami zbiegowiska. Węgry, jak zwykle, klęli i wśród prawdziwego potopu klątw, któremi tego wieczora, szczególnie Niemców obarczali, można było podchwycić następujące urywane zdania:

— To dobrze!... — wołał jeden — wiemy już przynajmniej wyraźnie, z kim mamy do czynienia!...

— Można było od początku domyślać się — odezwał się drugi — że to niemiecka sztuka!...

— Za ciężko będzie na nas!... — zauważał któryś stojący nieopodal od Szandora.

— Ho!... ho!... — odparł ktoś głośno — jak się zatrzęsie madiarska kraina, to wyda tylu Madiarów, ile jest gwiazd na niebie!... Bóg madiarski sam jeden da radę niemieckiemu i rackiemu i olahskiemu.

Ktoś krzyknął:

— Niech żyją honwedy!...<sup>1)</sup>

Tłum powtórzył okrzyk.

<sup>1)</sup> *Honwedy*, dosłownie: obrońcy kraju — milicya.

— Niech tylko wszystkie honwedy będą takimi jak wereszypkoszy<sup>1)</sup> — odezwał się inny — to damy radę całemu światu!...

Szandor rozumiał, iż zajść musiała jakaś zmiana polityczno-wojenna, ale nie mógł dowiedzieć się o szczegółach, chociaż o nie zapytywał. Odpowiedziami na zapytania były klątwy lub wykrzykniki. Madiarowi trudno zdobyć się odrazu na kategorię odpowiedź. Gdy do czegoś zapali się lub na coś rozniewa, będzie krzyczał, sierdził się, nie mówiąc czego i na co; zdaje się mu bowiem, że co jego obchodzi, każdego obchodzić powinno; o czym on wie, każdy o tem wiedzieć musi. I z pewnością o niczem, tego przynajmniej wieczora, nie byłby się Szandor od Madiarów dowiedział, gdyby, gdy już się na rynku przeredziło i muzyka umilkła, nie spotkał Memlaura.

— Dobry wieczór!... — zaczęł go Memlauer — no, cóż ty, Szandor, na to?...

— Ja o niczem jeszcze nie wiem — odparł Szandor.

— Nie może być!... — zawołał Memlauer zdziwiony — a ja myślałem, żeś już w huzarach!...

— Powiedzże mi, panie Memlauer, co to się stało? — rzekł Szandor z oznaką niecierpliwości.

— Nie stało się nic nadzwyczajnego, ani nic takiego, czego przewidzieć nie można było — mówił Memlauer powoli. — Oto, wasza sprawa pogorszyła

<sup>1)</sup> *Wereszypkoszami* nazywano 9-ty batalion od czerwonych czapek; nazywano ich także z niemiecka *Rothkaptery* — czerwono czapniki.

się, bo cesar odstąpił was, a wziął stronę Raców i Olahów.

— Cóż teraz robić?...—wyrwało się Szandorowi mimowolnie.

— Co robić?—podchwycił Memlauer.—Ty Madiar... i nie wiesz, co teraz robić!... — i dodał tonem ironii:—siedzieć u Sawy Simicza i czekać na wesele, a po weselu otworzyć kuźnię i kuć żelazo na pęta, w które was ubiorą...

Gdyby nie było ciemno, widziałby Memlauer, jak zamarantowała twarz Szandora od krwi, która mu uderzyła do głowy. Nie pytał się on już o nic więcej, nie potrzebował już radzić się, co ma robić. Wrażenia, jakich w dniu tym w przeciągu kilku ostatnich godzin doświadczył, były tak silne i niepokojące, iż poczuł, że pod ich wpływem pozostać długo nie może.

Kilka dni następnych upłynęło bez godnych szczególnej wzmianki wypadków. Janko bawił w Szegiedynie, krzątając się po mieście i naradzając się często to z Łuką, to z innymi Serbami, którym wiadomość o zmianie polityczno-wojennej dodała otuchy i energii. Zasługuje na wspomnienie tylko to, iż Janko, po tajemnej nazajutrz rozmowie z Memlauerem, począł bardzo krzywo patrzeć na Szandora i zapytał się Łukę kilkakrotnie:

— Nie pamiętasz ty, czy Szandor słyszał, cośmy mówili o prochni?...

— Nie... nie pamiętam—odpowiadał Łuka—ale, chociażby i słyszał...

— A! — przerywał Janko niecierpliwie — żadnemu Madiarowi dowierzać nie można!... Czy nie mo-

znaby jakim sposobem wyciągnąć od niego, czy słyszał, i wytłómaczyć mu, że to było powiedziane w uniesieniu.

— Spytać się go...

— Nie!... — przerwał Janko—to byłoby jeszcze gorzej... Możeby przez Marijkę można co zrobić... Ale, dziewczętom powierzać takie sprawy!...

— A do tego takim, jak Marijka—dodał Łuka—któraby za Szandora życie oddała...

— Ha!... niema rady!... — rzekł Janko. — Nie przyszło mi na myśl, że on tam siedział!... No!... ale... stało się... Trzeba się tylko pilnować i śledzić zdaleka kroki Szandora.

Nie było jednakże potrzeby, ni możności śledzić, bo Szandor wkrótce potem opuścił Szegiedyn.

Owych kilka godzin, w których tyle uczuć wstrząsnęło jego sercem, zmieniły go do niepoznania. Stał się nasz Szandor milczącym i ponurym, i twarzy jego jak przed tem nie pozpogadzały uśmiechy i szczebiotania Marijki. Wydało mu się nawet, iż przestał Marijkę kochać; a jednakże tych kilka dni, przez które pozostawał jeszcze w Szegiedynie, pozostawał dla niej, chociaż nie przy niej, bo większą część dnia i wieczory całe przepędzał w mieście. Co dnia szedł do domu z zamiarem pożegnania się z Simiczem, z Anną, z Marijką, i co dnia, popatrzwszy na tę ostatnią, odkładał pożegnanie do jutra.

— Jeszcze jeden, ostatni dzień—mówił sam do siebie.

— Co się tobie stało, Szandor?...—zapytała go raz dziewczyna.

— Co?... Nic!...—odparł Szandor.

— Ty nie byłeś takim dawniej... Ciebie coś smuci, niepokoi... Powiedz, co ciebie, *lelkiem*, smuci!...—i pogłaskała go drobną rączką pod brodę, przywołując się i przysuwając się do niego.

Szandor westchnął, ale nic nie powiedział.

— Może ty gniewasz się na mnie — rzekło dziewczę pieszczonym głosem, w którym drżała obawa i miłość — mozem ja ciebie mimowolnie obrazić?...

— Nie!... nie!... tyś mnie niczem nie obraziła— zawołał Szandor, przyciskając Marijkę do piersi.—Ja ciebie bardzo kocham i dlatego mi smutno... Bo!... o!... — i urwał, gdyż go w gardle coś zdusiło, coś takiego, co gwałtem chciało wydobyć się z piersi.

— A ja, czyż nie kocham ciebie?... — zapytała Marijka; lecz więcej mówić nie mogła, bo nie wiedzieć od czego łzy lunęły jej z oczu i cichy płacz tłumił mowę.

Szandor nie miał odwagi powiedzieć jej: bądź zdrowa; i jemu zrobiło się tak, że byłby zapłakał, gdyby nie wstydził się; nie tylko bowiem u nas, ale i u Węgrów, łzy w oku mężczyźni uważane są jako oznaka słabości, do której wstyd mężczyźni przyznawać się. A że nie czuł się bohater nasz na siłach powstrzymać łez cisnących się za powieki, więc zerwał się i uciekł na miasto.

Wspomniałem o tem, że Szandor większą część dnia przepędzał na mieście. Dodać do tego należy, iż cały czas spędzał on w jednym i tem samym miejscu, na rynku, przed otwartym, a napełnionym zwykłe ludźmi szynkiem, przed którym od rana do wieczora, z rzadkimi i krótkimi przestankami, odbywał

się werbunek do wojska, prowadzony przez kilku huzarów. Warto przypatrzeć się tej operacyi, jako takiej, która po zaprowadzeniu rekrutacyjnego systemu stała się wspomnieniem przeszłości.

Werbunek w Węgrzech odbywał się dawnym sposobem i zależał całkowicie na zwabieniu, albo raczej na złapaniu do szeregów młodych fryców. Po wprowadzeniu konskrypcyi nie był on bardzo potrzebnym; przechował się jednakże i praktykował jako zwyczaj, którego rząd austriacki nie usuwał dlatego może, iż z jednej strony nie chciał zrażać starych żołnierzy, najuporczywiej, jak wiadomo, trzymających się starych zwyczajów, a z drugiej — nie chciał pozbywać się jednego więcej środka pomnożenia licznie szeregów wojskowych, których potrzeba coraz mocniej czuć się dawała. Więc werbunkosze zakładali po miastach główne swoje kwatery i werbowali z całym zapalem dawniejszych czasów, spotęgowanym bieżącą potrzebą i jak powiadają o konającej lampie, że przed zgaśnięciem największy blask roztacza, tak i oni, niby przeczuwając, iż po raz ostatni werbuja, wystąpili z największą pompą.

Pompę stanowiły szczególnie sztandary. Jeden, największy, z ogromnym herbem węgierskim, powiewał na wysokiej malowanej żerdzi, ozdobionej wieńcami, wstążkami, kutasami i frędzlami. Złote i srebrne rzucanki, któremi był gdzieniegdzie wytkany i które pasemkami przewijały się pomiędzy kitami kutasów i szeregami frędzli, sprawiały, iż jaśniał i migał w powietrzu, jak gdyby usiany był gwiazdami i utkany słonecznymi promieniami. Sztandar ten reprezentował ów sztandar węgierski, pod który garnęli się podów-

czas Madiary i Słowaki; był on symbolem tej sprawy, o którą toczyła się walka; musiał przeto i świetnie i pięknie wyglądać. Pysznie rozwijał się on na całą długość i szerokość za każdym podmuchem wiatru i mienił się kolorami i blaskiem, osłaniając sobą pomniejsze sztandary, w liczbie przynajmniej dwudziestu wywieszzone w rozmaitych miejscach, a z których cztery, pod pewnym nachyleniem, przyczepione były do żerdzi głównego. Punktem, w którym wbita była żerdź owego głównego sztandaru, był pewien rodzaj piedestału, zrobionego z desek i umieszczonego na rynku, w odległości kilkunastu kroków od drzwi szynkowych.

Pomiędzy tym sztandarem a szynkowemi drzwiami znajdowało się to, co nazwiemy biórką werbunkowem, na które składały się: stolik zwyczajny z szufladą, stołek drewniany do siedzenia i beczka z winem postawiona na koziolkach, stojące rzędem, jedno obok drugiego: — beczka na jednym skrzydle, stolik na drugim, a stołek pośrodku, oddalony o parę kroków od pierwszej, tak, że pomiędzy nim a beczką można było przejść. Przejście to było wrotami do karyery wojskowej. Kto włożył na łeb czapkę huzarską, napił się wina i przyszedł pomiędzy beczką a stolkiem, stawał się już przez to samo huzarem.

Komenda werbunkowa składała się ze starego wachmistrza i sześciu młodych żołnierzy. Przełożonym nad nimi był oficer, ale ten nie pokazywał się na rynku i całą wystawą dowodził wachmistrz stary, doświadczony, umiejący i przemówić i nastawić się i zaimponować w potrzebie. W powierzchowności

i postawie wachmistrza najbardziej uderzającymi były wąsy. Wąsy?... nie można nazwać tego wąsami, gdyż były to dwa białe wiechcie, pozótkłe przy ustach i spadające na piersi. Dla pokręcenia ich wachmistrz rozdzielał je naprzód kułakami, a potem brał obiema garściami ze spodu, zawijał na palce i gładził, popuszczając powoli. Nad temi wąsami wznosił się nos, który, jak wąsy do zwykłych ludzkich wąsów, tak on niepodobnym był do zwykłego ludzkiego nosa. Gdyby kontur jego, bądź w profilu, bądź *en face*, odrysować oddzielnie na papierze, lub nawet, gdyby podobieństwo jego ulepić z gliny, niktby nie powiedział, że to nos, a jeszcze trudniejszym byłoby odgadnienie, gdyby odmalować go takim, jakim on jaśniał kolorem. Trudno opisać go, bo nie ma do czego tego nosa przyrównać, chyba do krótkiej pękatej butelki, przez pół wzdłuż przeciętej i przyłożonej do środka oblicza wachmistrzowego w taki sposób, że szyjka wpadła pomiędzy oczy, a brzusek wznosił się ponad wąsy, zaokrągliwszy się w tem miejscu, w którym powinny być nozdrza. Jest to jednakże bardzo niedokładne przyrównanie, gdyż nosowi wachmistrza brakowało zupełnie gładkości i regularności butelki; to, co reprezentowało w nim szyjkę, było nieco zgarbione, a to, co reprezentowało brzusek, było popryszczone w pewien rodzaj brodawek, z których jedna największa, ozdobiona kilku zagiętymi włosami, siedziała na końcu, a inne pomniejsze przylegały do niej z rozmaitych stron. Kolor tego nosa był brudno-amarantowy. Zresztą zaś fizyognomia wachmistrza była ludzką; ale za to strój jego był niepospolitym. Generałowie nawet na pa-



radę nie ubierają się tak, jak on był ubranym, w takie cienkie sukno, w tak wytwornie uszyty i obciążony szamerunkami, guzami i galonami mundur, w takie botforty ze złotemi kutasami i srebrnemi ostrogami, ani w takie szako z kitą i wiankiem z liści dębowych, co wszystko dopełniał pałasz na złocistym pendencie i taszka na złocistych pasach. Młodzi żołnierze byli także wytwornie, ale nie z takim, jak wachmistrz, ubraniem przepychem. Ich fizyognomie odznaczały się także wąsami, mniejszemi jednakże od wachmistrzowskich, mocno nawoskowanemi. Wyczerzionemi i ostro zakończonemi. Ostrogi ich, długie na ćwierć łokcia i dzwoniące wielkimi podwójnemi kółkami, zasługują na szczególną wzmiankę. Pomiedzy nimi trzech pełnili funkcję muzykantów, z których jeden grał na trąbce, drugi na piszczalce, a trzeci na bębnie. Oprócz tej muzyki jednakże, odbywającej się kiedy niekiedy tylko, byli i cyganie, którzy grali, stojąc obok beczki z winem.

Werbunek rozpoczął się około dziesiątej przed południem ceremonialnem wyjściem wachmistrza z szynku i zajęciem siedzenia na stolku. Wychodził on powoli i poważnie, poprzedzając komendę swoją. Cała muzyka grzmiała, — Cyganie grali Rakoczego a żołnierze wtórowali im bębniem, piszczalką i trąbką. Tłum ludzi był już zgromadzony, ściągnięty ciekawością oglądania ceremoniału. Trzej niemuzycalni żołnierze nieśli za wachmistrzem worki z pieniędzmi, zwitek papieru i przybory piśmienne. Wachmistrz zasiadł przy stoliku; jeden żołnierz kładł przed nim papiery, drugi wrzucał pod stół worki, a trzeci rozwiązywał jeden z worków, wysypywał na stół ku-

pę cwancygierów i układał je w kolumny po dwanaście. Muzyka tymczasem grzmiała, a wachmistrz siedział, podparłszy się w boki lub gładząc wąsy. Po skończeniu wystawienia na widok publiczny pieniędzy, których nie było zbyt wiele, gdyż worki pod stołem zawierały miedziaki, rozpoczynało się werbowanie. Żołnierze, podzwaniając ostrogami, mieszały się z tłumem, zachwalali wojaczkę, życie bez trosk, sławę żołnierską, przyśpiewując, przytupując. Niekiedy zaimprovizował się czardasz, w którym werbunkosze rej prowadzili, pokazując jak to się tańczy czardasza i przekonywając publiczność, że trzeba być koniecznie huzarem, aby tak tańczyć. A chodziło im szczególnie, rozumie się, o młodych ludzi. To też każdy młody zwracał natychmiast ich uwagę na siebie, z każdym jeden z werbunkoszy zawiązywał znajomość i przyjaźń, i rozmawiając, rozprowadzając, zawlekał go powoli coraz bliżej ku beczce i wachmistrzowi.

— Ot, *baraton* — mówił np. — napijmy się wina.

— Dziękuję—odpowiadał młody.

— Ale, co to... dziękuję!... Cóż ty za Madiar, jeżeli boisz się szklanki wina!... Chodź, napijemy się!... przystaniesz do huzarów, czy nie, to mi wszystko jedno; ale to nie przeszkadza, abyśmy zawiązali z sobą przyjaźń i obleli ją *borem* (winem)!... *Bor* jest na to, aby go pić i huzarom nigdy na nim nie zbywa... Jeżeli chcesz przekonać się o tem, to przystań do huzarów, a nie chcesz, to napij się wina.

Wino werbunkowe dziwny jakiś wpływ wy-

wieralo. Ten, co szklanke lub dwie wypil, weselał sercem i umyslem i juz samemu chcialo się na próbe wlozyc szako na leb. Werbunkosz mienial się z nim na czapki:—brał jego kapelus, a jemu wkładal swoje szako i przechylal je na bakier.

— Hej!... jakże ty wyglądasz!... — wołał, zamachując się. — Tyś się urodził na huzara!... Gdybyś się tak pokazał w Peszcie, toby za tobą grafki i baronki szalały!... A niech-no — ciebie wachmistrz zobaczy!... Panie wachmistrz! patrz no, jak on wygląda!...

Wachmistrz wstawal, brał się w boki, odstępował parę kroków, pochylając głowę to na prawo, to na lewo, niby dla lepszego przypatrzenia się, zkał parę razy dobitnie mówił:

— W żadnym pułku nie znajdzie się taki drugi huzar!... Ciebie odrazu kapralem zrobia, a z kaprała w miesiąc... hm!... czy wiesz ty czem zostaniesz?... może myślisz, że wachmajstrem?... Nie!... — tu wachmistrz marszczył się, podnosił rękę i wykrzykiwał:

— Ciebie zrobia... rotmajstrem!...

Podniesienie ręki było znakiem dla muzykantów wojskowych. Dobosz, trębacz i surmacz zachodzili za młodego werbowanego i uderzali w bęben, w trąbkę i w piszczałkę. Wachmistrz zasiadał na stolku i zapisywał imię, nazwisko, lata i profesję nowozwerbowanego, podyktowane przez werbunkosza, który brał go pod ramię, przeprowadzał pomiędzy beczką i stolkiem i niknął z nim w szynku. Po chwili z szynku wychodził napowrót werbunkosz, ale sam i w swoim własnym szaku. Przyszły rotmistrz po-

zostawał w tylnej izbie, której potężnie okratowane okna i dobrze okute a opatrzone mocnym zamkiem i dużemi zasuwami drzwi, odbierały wszelką możność zrzeczenia się świetnej przyszłości, a komu zbytecznie zachciewało się rzec jej, odbierano mu tę ochotę przez proste włożenie kajdan na nogi, a w razie potrzeby—na ręce i na szyję. Goła prycza, na której siedząc lub leżąc, można było oddawać się rozmyślaniu, dawały przedsmak rozkoszy żołnierskich.

Tym jednakże razem, w Szegiedynie, surowość względem werbowanych była złagodzoną, z powodu ochoty, z jaką młodzież madiarska garnęła się pod sztandary. Węgry zaciągali się do huzarów tem chętniej, iż przez to zaciągnięcie uwalniali się od służby w piechocie, do której mogli być wzięci, gdyby oczekiwali na konskrypcyjną kolej. W tylnej izbie szynkowej kilku tylko zwerbowanych siedziało, a większa część onych, po przejściu między stolkiem a beczką, puszczaną była swobodnie, żegnała się z krewnymi i znajomymi i robiła przygotowania do wymarszu, którego dzień był stanowczo oznaczonym.

W wigilię dnia wymarszu miała miejsce przytoczona powyżej krótka rozmowa pomiędzy Szandorem a Marijką. Szandora werbunkosze mieli na oku i co dnia, po kilka razy, zaczepiali go, ale on ich unikał i zdaleka tylko przypatrywał się procedurze werbunkowej, po kilka razy puszczając się już ku wachmistrzowi dla zapisania się, lecz zawsze jeszcze wstrzymując się. W ostatnim dniu zrana bohater nasz był już przy stoliku i już otwierał usta, ale cofnął się i poszedł do Marijki, chcąc na nią tylko spojrzeć. Po

rozmowie z nią powrócił na rynek, stanął opodal od sztandaru i stał z godzinę w milczeniu. Werbuncz szedł ostro, gdyż w dniu tym więcej niż w poprzednich zaciągało się młodzieży i co półgodziny prawie słyszeć się dawał tryumfalny głos trąbki, bębna i piszczałki. Aż nakoniec, około wieczora, ruszył Szandor raptem naprzód, przecisnął się przez tłum, stanął przed stolikiem i rzekł do wachmistrza:

— Panie wachmistrzu, zapiszcie mnie do huzarów!...

Wachmistrz zmierzył go od stóp do głowy odchrząknął, rozglądził wąsy i zabierał się do wstawania, dla przywołania znakami werbunkoszy i muzykantów, w celu dopełnienia werbunkowych formalności.

— Nie wstawajcie, panie wachmistrzu!... — zawołał Szandor, wyciągając rękę — zapiszcie mnie tylko... Ja przystaję z dobrej woli i nie potrzebuję, aby mnie pod ramię ciągniono...

Wachmistrz chciał się upierać, bo mu się zdało, że formalność werbunkowa była pewnym rodzajem chrztu, bez którego nie można było zostać prawdziwym huzarem; ale Szandor uprzedził go:

— Jeżeli tylko wstaniecie i podniesiecie rękę, ja natychmiast odejdę precz i zapiszę się w *waroszazie*<sup>1)</sup> do honwedów.

— Napijże się choć wina... hm!.. — rzekł wachmistrz, biorąc pióro do ręki i oglądając jeszcze raz od stóp do głowy Szandora.

— Nie będę pił, nie będę wdziewał szaka na

<sup>1)</sup> *Waroszaz* — dom miejski, magistrat.

głowę, nie będę zachodził za beczkę — odparł Szandor niecierpliwie — zapiszcie mnie, a jutro o piątej stawię się do wymarszu.

— Ale kiedyż bez tego nie można!..

— Bądźcie zdrowi, panie wachmistrzu!.. — rzekł Szandor, obracając się.

— No! no!.. — zawołał wachmistrz — hm!.. Jak się nazywasz?..

— Szandor Kowacz.

Wachmistrz zapisał.

— Ile masz lat?..

— Dwadzieścia trzy.

— Jakiej profesyi?

Szandor wstrzymał się przez chwilę, jakby namyślając się i odparł:

— Żadnej.

— Żadnej — powtórzył wachmistrz, zapisując i dodał:

— To najlepsza w huzarach profesya... Pamiętaj: jutro o piątej!.. plac zbioru... w szynku!..

Szandor obrócił się, odszedł i zatrzymawszy się opodal, odetchnął głęboko, jakby zrzucił ciężar, który mu piersi uciskał, i pozostał na rynku do samego wieczora, bo za widna nie śmiał, a może nie chciał iść do Simicza, albo może chciał skrócić pożegnanie, które — przeczuwał — że będzie bolesnem.

Przecucie jego sprawdziło się. Wymówione przez niego wyrazy: „zaciągnąłem się do huzarów“ wprawiły rodzinę Simicza zrazu w osłupienie, które u kobiet zamieniło się na rozpacz, u mężczyzn na gniew. Anna i Marijka rozplakały się, Sawa i Łuka

(Janka przy tem nie było) powstali na Szandora z wymówkami, Łuka mówił:

— To szaleństwo!.. Ty zgubisz się nie wiedzieć za co i na co!.. To chyba nie wiesz, że Madiary buntują się przeciwko cisara!..

Szandor nic nie odpowiadał.

— Tyś błazen i dureń!..—zawołał Sawa—co to teraz huzary!.. wstyd teraz nazywać się huzarem!.. Tfu!.. Widziałem ja tych werbunkoszy na rynku... Tylko nosaty wachmistrz podobny do człowieka, a te fryhy chcieliby coś udawać, ale nie umięją... Czemuś się mnie nie spytał, nie poradził?.. Tobie się podobały wielkie ostrogi i szako z kitą... Nie dadzą ci ani takich ostróg, ani takiego szaka! O! nie dadzą!.. Tyś wielki błazen!..

Szandor milczał. Kobiety płakały. Wszedł Janko.

— Jankul... — rzekł Sawa—Szandor zapisał się do huzarów.

Janko zmierzył go wzrokiem surowo i powiedział:

— Madiar!.. czuje krew słowiańską, jak sęp albo kruk, o których powiadają, że zdaleka ścierwo wietrzą... Niech idzie!.. Ale niedługie już madiarskie panowanie!.. Za późno wybrał się Szandor!..

— Nie!.. niech nie idzie!.. — rzekł Sawa dobitnie.—Jakoś się zapisał, tak się wypiszesz!.. Pójdziesz w kukurydze i dyabeł ciebie nie znajdzie... Ja nie pozwolę, abyś ty zrobił głupstwo...

Wszyscy umilkli, kiedy kobiety powstrzymały płacz i wszyscy zwrócili na Szandora pytające wzroki. Lecz i Szandor milczał—spuścił głowę i nic nie mówił.

— Cóż!.. gadaj!..—rzekł Sawa.

Szandor miał w ręku kapelusza i po chwili podniósł głowę i powiedział:

— Ja muszę pójść, Sawo Simiczu!.. Pójdę!..

— Pójdiesz?..—zawołał Sawa.—Czekajże, niech z tobą zrobię obrachunek!

To mówiąc, porwał się stary z miejsca—schylił się przy łóżku, sięgnął pod nie ręką i wysunął kuferek, a otworzywszy, wydobyl worek z pieniędzmi Szandora i rzekł, podając mu go:

— Masz!.. bierz!.. to praca twego dziada i ojca, powierzona mi wraz z tobą pod opiekę... Kiedy ty wylamujesz się z pod mojej opieki, to zabieraj co twoje i bądź dla mnie obcym!.. Miałem ci twój majątek i zarazem moją córkę oddać... Byłem twoim opiekunem i miałem być twoim ojcem i kochałem naprzód jak rodzone moje dziecko...

Tu Sawie głos zmiękł, jakby mu coś przeszkadzało mówić i kończył, zająkując się:

— Ale... walisz ty sam... opiekę... ja łamię zobowiązanie się... względem... ciebie... Będę szukał... innego... dla Marijki... męża... Bierz... to twoje... i nic więcej dla ciebie w moim domu niema.

I wkładał mu stary worek w ręce, lecz Szandor nie brał go, usuwając się przed Sawą.

— Bierz! — mówi stary — to twoje... i idź bez mego i bez mojej Anny błogosławieństwa...

Zdawało się Sawie, iż Szandor podstawił dłoń pod worek; puścił go więc i pieniądze, z głuchym brzękiem upadły na podłogę. Szandor nie schylił się po nie.

— O, jakże to ciężko nie mieć ani ojca, ani matki!..—rzekł smutnie.

Na te słowa Anna z głośnem łkaniem rzuciła się ku niemu, a staremu Simiczowi łzy strumieniem popłynęły z oczu. Szandor pochylił głowę i Anna, przycisnąwszy ją naprzód do piersi, osłoniła ją krzyżem błogosławieństwa. Marijka zachodziła się od płaczu.

— No!.. idziesz? — zapytał jeszcze raz Sawa, głosem zmienionym.

— Idę!.. idę!..—odparł Szandor.

— Niechże cię Pan Bóg prowadzi!..

Chciał jeszcze Sawa coś mówić, ale nie mógł. Szandor z trudnością wydrzeć się zdołał z uścisków rodziny Simicza, w których sam tylko Janko nie brał udziału, unikając dotknięcia się go, i wybiegł na ulicę, obłany łzami, okryty błogosławieństwem i owiany niby czarem ostatniego uścisku, który przyłgnał do niego i zdawało się mu, jakoby na wieki otulił jego serce.

KONIEC TOMU PIERWSZECO.

149534



wypożyczalnie.

Nr. ....

Nr. inw. w .....

75